RÓK IV. LIPIEC TOM VII (XXXVII).

DZWONEK CZĘSTOCHOWSKI

PISMO MIESIĘCZNE, ILLUSTROWANE

POD REDAKCYĄ

Księdza JÓZEFA ADAMCZYKA





CZĘSTOCHOWA

Adres Redakcyi: Częstochowa, pod Jasną-Górą.

Filja w Warszawie: ulica Mokotowska Nr. 47.

Agencya w Łodzi: przy księgarni Władysława Kaczmarka, ulica Piotrkowska Nr. 107.

1904

Дозволено Цензурою.
Варшава, 2 іюля 1904 года.



Błogosławieństwo Ojca Świętego Piusa X, najmiłościwiej udzielone redakcyi „Dzwonka Częstochowskiego.“

Dzielimy się z drogimi Czytelnikami najradośniejszą wiadomością, jaka nas w życiu spotkać mogła. Oto Ojciec Ś-ty Pius X, z wysokości

Stolicy Piotrowej, udzielił redakcyi „Dzwonka Częstochowskiego” swego Apostolskiego błogosławieństwa; podany sobie rocznik pisma wziął w swe najdostojniejsze dłonie i patrząc nań, wyrzekł: „Błogosławię!”

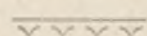
To wielkie dobrodziejstwo duchowe spływa nietylko na redakcyę „Dzwonka Częstochowskiego” i jej współpracowników, lecz w równej mierze i na czytelników.

Dzieląc się tą radością naszą ze wszystkimi, którzy „Dzwonek Częstochowski” czytają, uważamy ją, jako dowód dla nas łaski Bożej i Przenajświętszej Matki Boskiej Częstochowskiej.

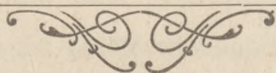


Treść tomu VII, lipcowego 1904 r.,

ogólnego zbioru XXXVII.



ILLUSTRACYE:



(Dodatek do grudniowego tomu „Dzwonka Częstochowskiego.")

Prospekt na Rok 1904.



Ksiądz Augustyn Kordecki.

„DZWONEK CZĘSTOCHOWSKI"

PISMO MIESIĘCZNE ILLUSTROWANE

(12 dużych tomów rocznie)

pod redakcyą księdza JÓZEFA ADAMCZYKA

Bogu na chwałę—ludziom na pożytek: pod tem godłem rozpoczęliśmy przed dwoma laty wydawnictwo „DZWONKA CZĘSTOCHOWSKIEGO" ożywieni gorącem uczuciem niesienia braciom słowa pociechy, ukojenia i dobrej rady. Słowa te w Imię Boże głoszone drukiem od stóp przesławnej świątyni Jasnogórskiej wróżyły dobrą przyszłość nowemu pismu.

Jakoż nie zawiodły nas nadzieje: „DZWONEK CZĘSTOCHOWSKI" szybko pozyskał sobie serca ludzkie, zasłużył na uznanie i błogosławieństwo osób kierujących sprawami Bożemi na ziemi.

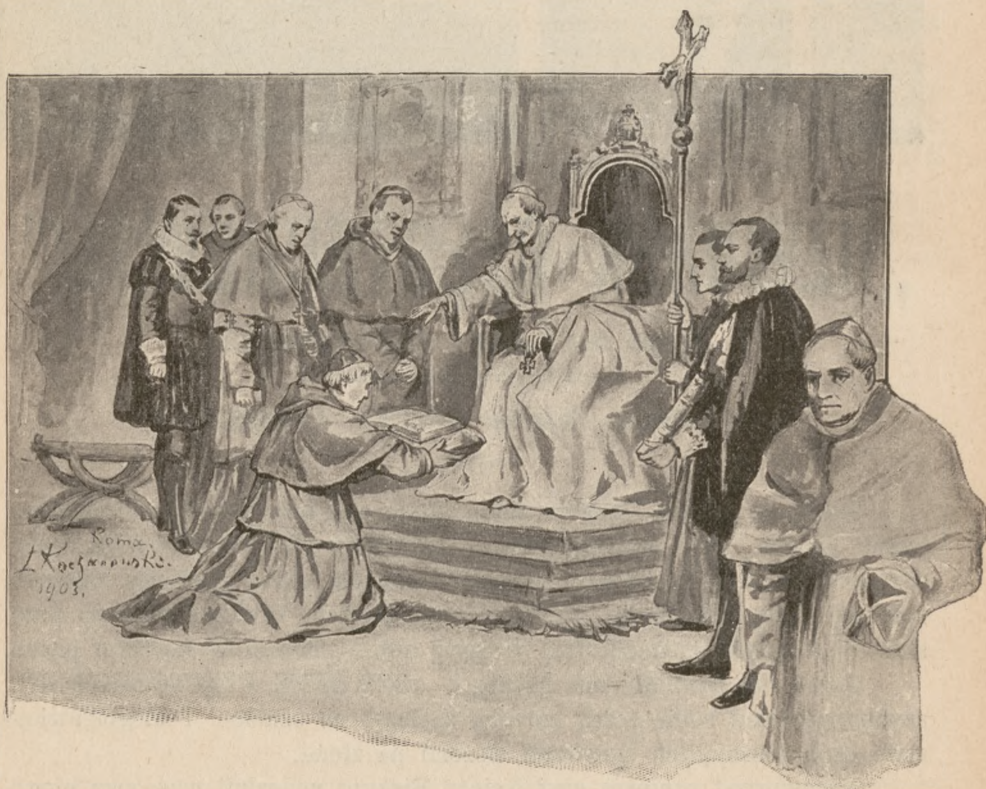
Nasamprzód pasterze nasi Księża Biskupi nadesłali nam swe błogosławieństwo. Z pomiędzy nich przytaczamy pisane ręką Księdza Biskupa kujawsko-kaliskiego, z którego dyecezyi „DZWONEK CZĘSTOCHOWSKI" w świat wychodzi:

Szanowny Księże Redaktorze

Każdemu wiadomo, jak wielką jest potrzeba pism peryodycznych, któreby dawały należytą duchową i społeczną strawę. Zasady bowiem i poglądy w pismach zawarte powoli wsiąkają w umysły i urabiają serca czytelników. To też uznanie Ci się należy, Szanowny Księże Redaktorze, za zbożną Twą pracę w „DZWONKU CZĘSTOCHOWSKIM“, za rozsiewanie zdrowego ziarna na roli rodzin chrześcijańskich, dla których na wzór i obronę podajesz Najświętszą Bogarodzicę Maryę. Że praca Twa była potrzebna, świadczy poczytność „DZWONKA CZĘSTOCHOWSKIEGO“. Kształć więc umysły i urabiaj serca, ufny w łaskę Bożą, opiekę Maryi i pomoc współpracowników, których wyszukiwać z pewnością nie potrzebujesz. Zapewniając o swej dla „DZWONKA CZĘSTOCHOWSKIEGO“ życzliwości, zasyłam pasterskie błogosławieństwo Tobie, Szanowny Księże Redaktorze, Współpracownikom i Czytelnikom.

(podpisano)

Ks. Stanisław Zdzitowiecki, Biskup Kujawsko-kaliski.



Ojciec Święty Leon XIII błogosławi wydawnictwo „DZWONKA CZĘSTOCHOWSKIEGO“.

Wiekopomnej pamięci Ojciec Swięty Leon XIII, z wysokości Stolicy Piotrowej, udzielił redakcyi „DZWONKA CZĘSTOCHOWSKIEGO“ swego Apostolskiego błogosławieństwa; podany sobie rocznik pisma wziął w swe dostojne dłonie i patrząc nań, wyrzekł te tyle drogie słowo: „Błogosławię!“

Z kolei spotkało skromną naszą pracę odznaczenie zaszczytne, przejmujące wielką radością serca wszystkich, którzy radzi widzą dobro moralne ludu naszego. Oto na zjeździe międzynarodowym ku czci Maryi Królowej Niebios, odbytym we Fryburgu, grono najwyższych dostojników Kościoła odznaczyło wydawnictwo „DZWONKA CZĘSTOCHOWSKIEGO“ medalem złotym.



Medal złoty, którym nagrodzono redakcyę „Dzwonka Częstochowskiego“ na kongresie ku czci Maryi, Królowej Niebios, odbytym we Fryburgu.

Oprócz tych, tyle drogich sercu naszemu odznaczeń, codziennie redakcya „DZWONKA CZĘSTOCHOWSKIEGO“ otrzymuje w listach pisanych przez swych czytelników słowa wdzięczności i przywiązania. Te, tak zaszczytne, że marzyć o nich nie śmieliśmy, te, tak miłe i drogie dowody uznania dla naszej pracy, nie podsycają w nas próżności; bo to, co się stało, poczytujemy jedynie za łaskę Bożą, za łaskę Maryi, Królowej nieba i ziemi, której czci pismo poświęciliśmy.

Stajemy więc przed ogółem z prośbą: Rozpowszechniajcie „DZWONEK CZĘSTOCHOWSKI“, bo niesie on pokarm dla duszy zdrowy, krzepiący, bo koi bóle, łagodzi rany, wzywa do zgody braterskiej, do miłości bliźniego, bo pracę jego pobłogosławili Ci, którzy stoją na straży najwyższego szczęścia naszego — zbawienia wiecznego. Nie pozwólcie, aby zdrowy posiew zagłuszyły chwasty i kąkole. Rozpowszechniając „DZWONEK CZĘSTOCHOWSKI“, spełnicie czyn dobry, rzucicie ziarno zdrowe tam, gdzie go tak brakuje... A czyny dobre — Bóg nagradza błogosławieństwem swojem...

„Dzwonek Częstochowski" w roku 1904

zawierać będzie:

1) Artykuły treści teologicznej. 2) Powieści religijne. 3) Modlitwy prozą i wierszem. 4) Żywoty Świętych Pańskich, Ojców Kościoła, wielkich Papieży. 5) Obrazy z historyi Kościoła Rzymsko-Katolickiego. 6) Wiadomości różne z obszernem uwzględnieniem spraw kościelno-religijnych i tyczących się Częstochowy. 7) Ogłoszenia. 8) Illustracye.

W roku 1904 „Dzwonek Częstochowski" drukować będzie nader zajmującą pracę, ozdobioną licznemi illustracyami, pod tytułem:

„Drogą Świętych Męczenników wśród pogan."

Będą to wzruszające opisy cierpień i prześladowań, jakie znoszą głoszący słowo Boże w krainach pogańskich, jako to: wśród Chińczyków, Indyan, Murzynów i t. p.

W dalszym ciągu drukować będziemy cenne prace:

1) **Żywot illustrowany Pana naszego Jezusa Chrystusa.**
2) **Życiorys księdza Augustyna Kordeckiego.**
3) **Historyę illustrowaną Kościoła Rzymsko-katolickiego w obrazach i życiorysach.**
4) **Historyę illustrowaną klasztoru Jasnogórskiego.**

Dla prenumeratorów całorocznych wspaniałe

Premium na rok 1904

piękny obraz duży kolorowy, przedstawiający **WIDOK JASNEJ GÓRY.**

Obraz ten otrzymają wszyscy całoroczni prenumeratorzy „Dzwonka Częstochowskiego". Życzący sobie otrzymać premium przez pocztę dopłacają za opakowanie i przesyłkę 40 kop,

---

Dla prenumeratorów „DZWONKA CZĘSTOCHOWSKIEGO" redakcya ofiaruje po zniżonej cenie książkę

Obrazy w Sali Rycerskiej na Jasnej Górze

ozdobione kolorowemi, artystycznie wykonanemi illustracyami.

Cena katalogowa „Obrazów w Sali Rycerskiej na Jasnej-Górze" za egzemplarz ozdobnie oprawny rub. 1 kop. 50, dla prenumeratorów „Dzwonka Częstochowskiego," żądających wprost z redakcyi, tylko 1 rubla i kop. 20 na przesyłkę pocztową.

Wizerunki Dostojników Duchownych w Sali Rycerskiej na Jasnej-Górze.

Cena zniżona dla Prenumeratorów „Dzwonka Częstochowskiego"—50 kop., z przesyłką — 67 kop.

Prenumerata **„Dzwonka Częstochowskiego"** wynosi: w Częstochowie rocznie rub. 3, półrocznie rub. 1.50, kwartalnie kop. 75. Z przesyłką pocztową rub. 4, półrocznie rub. 2, kwartalnie rub. 1. W Austryi: rocznie koron 12, półrocznie koron 6.—W Niemczech: rocznie marek 10, półrocznie marek 5. W Ameryce rocznie 2 dolary 50 cent. Cena ogłoszeń: Na całej stronicy rub. 12, na połowie str. rub. 8, na czwartej części stronicy rub: 5 i za wiersz 75 kop.

Prenumeratorzy miejscowi za odnoszenie pisma do domu dopłacają **10** kop. kwartalnie.

Listy należy adresować:

Redakcya „Dzwonka Częstochowskiego" pod Jasną Górą w Częstochowie.

Redaktor i Właściciel: **Ks. Józef Adamczyk.**

CZCICIELE MARYI.

Odkąd zajaśniała w świecie wspaniała postać Bogarodzicy, odtąd też cześć dla Niej się szerzy. Ogarnęła ta cześć wszystkie krańce, wzrastała z niepojętą szybkością, zniewalała cudownie najuporczywsze, najbardziej barbarzyńskie serca. Cudownie, bo inaczej sobie niepodobna wytłumaczyć jej potężnego wzrostu, jak przy pomocy Bożej. Cudownie, bo żaden mocarz, żaden zdobywca, żaden geniusz nie rozsławił się tak szybko i tak szeroko po ziemi, jak skromna Dzieweczka z Nazaretu, Córka Joachima i Anny. Cudownie, boć nie było i niema w dziejach przykładu, aby ukrywająca się przed światem i ludźmi skromność, czystość, pobożność, świętobliwość i tym podobne cnoty, wystrzeliły po nad korony, berła i trony, aby przewyższyły blaskiem chwały swojej wszystko ziemskie.

Tylko ślepota woli Bożej w tem nie dojrzy, tylko zakamieniałość od uznania tego cudu nad cudy się odwraca. Serce prawe z pokornym zachwytem patrzy na ten dowód wszechpotęgi Najwyższego Stwórcy i sławi ją, a umacnia się w wierze świętej.

Cześć dla Maryi w Bogu ma poczęcie, więc gdziekolwiek promień wiary prawdziwej zajaśnieje, tam i ona rozlewać się zaczyna. Tak samo było u nas. Półpogańską jeszcze była ziemia nasza, Krzyż Chrystusów zaledwie na niej został utwierdzony, a już chwała Maryi na niej rozbrzmiewa w pieśni Ś-go Wojciecha, już się krzewi, rozrasta i gruntuje, aby objąć kraj od krańca do krańca, aby podbić wszelki umysł. Brzmi ta pieśń święta coraz rozgłośniej, z kościołów przenosi się pod strzechy, z nich zaś na pola bitew. Nieco później zjawia się na Jasnej Górze wizerunek cudowny, na prostej desce cyprysowej namalowany, zwycięża pociski tatarskie, gwałty husyckie, wyzwiska różnowierców i już w XV stuleciu świętością całej krainy się staje. Ze zdumieniem

patrzy się na one tryumfy Maryi, dziw nas ogarnia i zarazem rozrzewnienie, pokora, ręce składają się do modlitwy, a usta szepcą mimowoli:

— Zdrowaś, łaskiś pełna, Pan z Tobą...

Godzi się rozejrzeć w onych tryumfach Bogarodzicy, godzi się poznać najdawniejsze ich pomniki, przechowane w modlitwach, pieśniach, kazaniach i innych utworach religijnych. Właśnie zamierzamy to uczynić, idąc za wskazówką znakomitego naszego uczonego, Aleksandra Brücknera, profesora uniwersytetu w Berlinie.

Uczony nasz również stwierdza niesłychanie szybkie rozpowszechnienie czci dla Maryi u nas. Dogmat Niepokalanego Poczęcia naprzykład, miał u nas zawsze najgorliwszych wyznawców. Na ich czele stoi ksiądz Jan z Szamotuł, Paterkiem zwany. Pochodził on z rodziny mieszczan wielkopolskich, uczył się w Akademii krakowskiej, tam też się magistrował w r. 1505 i zaraz sam, wedle ówczesnego zwyczaju, rozpoczął w tejże Akademii nauczać. Później poświęcił się duszpasterstwu, został kaznodzieją królewskim. Niedługo na tem stanowisku zostawał, bo w styczniu 1519 r. popędliwy szlachcic, Rusocki, zarąbał go na śmierć, w sporze wynikłym o dziesięciny.

Ksiądz Paterek tedy jest w piśmiennictwie naszem pierwszym wymownym rzecznikiem Niepokalanego Poczęcia. Wprawdzie bronili dawno przed nim tego dogmatu duchowni mistrzowie krakowscy w rozprawach i kazaniach, sławili go wierszem i zwykłą mową, ale po łacinie. Ksiądz Paterek pierwszy sławił go i bronił po polsku. Co więcej — nie zadowolił się, jak inni, samem tylko głoszeniem kazań polskich, ale je najobszerniej piśmiennie wypracował. Trzy z nich jeno ocalały: dwa o Niepokalanem Poczęciu i jedno o Narodzeniu Najświętszej Panny Maryi, lecz z tych resztek można łatwo wnieść, że autor planował ułożenie kazań na wszystkie dni Maryjne, w porządku żywota Bogarodzicy, od Poczęcia do Wniebowzięcia. Nie wiemy, czy dzieło zamierzone wykonał w całości. W każdym razie pierwszy to kaznodzieja polski, który pracował nad polskiem dziełem religijnem o większym zakroju. Kazania jego są bardzo obszerne i bardzo szczegółowe. To nie punkta kazań tylko, które kaznodzieja dopiero ustnie rozszerzał; nie krótkie nauki: lecz aż do ostatniego słowa wypracowane utwory kaznodziejskie.

Kazania dawniejsze pisano dla kaznodziejów, dla ich użytku prywatnego. Ksiądz Paterek pierwszy pisał kazania dla wszystkich, dla pospolitego ludu i z góry je do czytania, a nie do słuchania przeznaczał. Snadnie się można o tem przekonać, biorąc którykolwiek z nich ustęp. Tak naprzykład, przy końcu wtórego kazania nadmienia: „Siódme jest Poczęcie Tej Miłej Panny (Bogarodzicy) pospolite. A jakoż to pospolite Jej Miłości Poczęcie było, słuchajmy wszystkich doktorów, którzy pisali

o Jej czystem Poczęciu, którzy tak pisali z objawienia i natchnienia Ducha Świętego, rzekąc: Było wesele w niebie, i na ziemi, i w otchłani między Oćcy Świętymi z Poczęcia Tej Dostojnej Panny. — Oto pospolite Tej Poczęcie. Wyżej w tych książkach pisano szerzej Poczęcie Najświętszej Panny Maryi, każde z osobna. Jako jest poczęta w wieczności w przeźreniu Boskiem, i przez Syna i Ducha Świętego wybrana, o tem już było. Jako poczęta w Anielech, o temeśmy słyszeli. Jako poczęta w prorocech, to też tego kęs wypisano. Jako poczęta przeczyście w żywocie Świętej Anny, i o tem nam tu w tem kazaniu powiedziano. Jeszcze wkrótce pisać chcę, iż Ta Miła Panna poczęta była po wszystkim świecie.“

Już z tego widzimy, że kazania księdza Paterka są rozprawami budującemi, należą więcej do działu medytacyj pobożnych. Z nich również dowiadujemy się, iż ksiądz Paterek był pierwszym Polakiem, który napisał żywot Maryi po polsku. Nadmienia bowiem w jednem kazaniu: „Taki człowiek bywa wolen w zmyślech swych a czujny, co już z pierwszego mego o żywocie Panny Maryi pisania wiemy.“ Ów żywot, niestety, zaginął, ale w kazaniach księdza Paterka znajduje się dużo szczegółów z niego wyjętych.

Ksiądz Paterek był nielada uczonym. W kazaniach swoich przytacza mnóstwo dzieł, na potwierdzenie swoich dowodzeń. Przytacza nietylko dzieła religijne, ale także poetyckie, filozoficzne, prawnicze i inne. Tak naprzykład, mówi: „Filozofowie utrzymują, iż co może moc niższa, to może i wyższa; ale natura róże z ciernia rodzi, słońce rzeczy smrodliwe grzeje, a od nich smrodu nie bierze, — cóż Bóg, tego stworzyciel! Mógł przeto Maryę Pannę, poczętą z rodziców wedle natury grzesznych grzechem pierworodnym, od tego grzechu zachować.“ W innem miejscu mówi: „Kto prawo ustanawia, nie jest pod tem prawem. Tak i Bóg, acz prawo Swego gniewu na rodzaj ludzki był ustanowił, z tego Maryę Pannę słusznie, jako Matkę Swą przyszłą, mógł wyjąć, bo i obrzezanie, które był przykazał w Starym Zakonie, w Nowym złamał, tak i inszych wiele rzeczy.“ W innem znów miejscu nadmienia: „Kto ma swe osobne prawo, od pospolitego jest wyjęt. Ale Marya Panna od początku swego w Bóstwie przeźrenia osobnym przywilejem była odarowana, bo Matką Bożą była przeźrana, a tako w pospolite prawo grzechu pierworodnego wpaść nie mogła. I owszem, iż w pospolitem prawie nie była, to się okazuje, iż acz jest niewieściego pogłowia, wżdy rzeczniczką być może i jest zawżdy naszą, co niewiastom odjęto dla sromieźliwości pogłowia. Szósty wywód jest z prawa mieskiego i cesarskiego, to jest rzymskiego, nie mającego miru w Polsce, iż książę, które rozmnaża swe państwo, wyjęto jest z praw pospolitych. Tym

obyczajem Marya, rozmnażająca Królestwo Niebieskie, wyjęta z pospolitego prawa.“

Z przytoczonych ustępów można osądzić, z jaką swobodą ksiądz Paterek językiem ojczystym władał. Nie chcę się po prostu wierzyć, iż czterysta lat ubiega od napisania tych szczeropolskich kazań. Język tu nie zaśmiecony żadnemi naleciałościami z czeskiego, czysty, najlepiej dowodzi, jak mylne i nieuzasadnione były uprzedzenia tych, którzy twierdzili, jakoby język polski był tak dalece zepsuty, iż chcąc po polsku dobrze i właściwie mówić, koniecznie po czesku umieć należy. Język Paterka dowodzi, że to nieprawda, że to dziwactwo. Zresztą przekona nas o tem bliższe rozpatrzenie się w jego kazaniach. Oto naprzykład, w jaki sposób opisuje postać Najświętszej Panny Maryi:

„Gdyż natura błądzić nie może, syn ma być podobien matce, a Krystus był między syny ludzkimi najcudniejszy, przeto i ciało Panny było cudne, która cudność zależy w wysokości, w farbie, w jakości, w członków cudnem postawieniu. A przeto pytam: jeśli Marya Panna wielkiego albo małego zrostu? Na co Wojciech Wielki odpowiada, iż miała zrost słuszny, tak, iż ani bardzo wielka, ani mała, ale jako należy na zrost wysoki, cudny, niewieści, co zrozumiej od Krystusa, bo miał ciało, jako mąż, nie jako olbrzym, ani jako karzeł, nie wyższy, jeno na ośm dłoń wielkich, a na dziewięć mniejszych; ale pospolicie tak wielki syn, jako matka, przeto tak wysoka była Marya, jako Jej miły Syn. I spytałby tu, jeśli była tłusta a cielista, albo sucha?

Wtóre rozumiej o Jej barwie, iż troja barwa bywa rozumiana na ciele: pierwą bierzą z skóry, wtórą z włos, trzecią z oczu. Włosy, pytam, jakie miała? I odpowiadam, iż nie owszejki miała kędzierzawych, bo takie włosy bywają człowiecze z zbytku zimna, a znamionują człowieka nadętego a zysku żądającego, co nie było u Panny. Nie miała rzadkich, albo bardzo miękkich, albo miąższych (grubych), ani też prawie całkiem białych, bo takie włosy znamionują człowieka tępego rozumu a trudnego ku nauce. Nie miała też lisowatych albo prawie czerwonych, co ukazuje zbytnią gorącość, a znamionuje człowieka niewiernego. Były tedy Jej włosy mierne, żółtoczarne, bo takie słuszają ku płci białej, rumianej; takie włosy się mienią, bo z młodu bywają żółte barzo, a potem czarne. Takie włosy gdy są cienkie, miękkie, znamionują dobre obyczaje, a dobrej płci dobre przyrodzenie, bo czynią człowieka stałego, mocnego i ukazują mózg ciepły a suchy, które jest jego najlepsze przyrodzenie. To jeszcze zrozumiejmy z Weroniki, która ukazuje, iż włosy Pana Jezusa w brodzie i w głowie były czarne, tak u Maryej.

Oczy miała czarne, bo oczy czarne, gdzie czarne włosy, też i to ozdabia panny i człowieka, też iż od mózgu gorącego i suchego mniej

wielkości idzie do oczu, a temu też rzadko bolewają albo płyną, iż mało wielkości mają, a możne i ostre widzenie i cudność dają. Tedy to słuszało Maryej Pannie.

Brwi czarne, nie bardzo gęste, albo włosiste, ale słuszne. Nos prosty, niewielki, prosto idący, co znak jest stałości a roztropności. Jagody Jej nie pucołowate albo tłuste, ani wyschłe, ale cudne, białe a rumiane w barwie, jako mleko a róża. Wargi czerwone, a niejako odpieszniałe albo cieliste tak, iż niższa warga większa była niźli wyższa, a to bardzo słusznie, co znamionuje mężność a wielką stałość. Zęby Jej były białe, proste, równe a czyste. Podgarłek Jej słuszny, a w miarę niejako na cztery grani, gdzie szedł niejaki dołek przez pośrodek. Ręce gołe a słuszne, palce niejako troszkę krzywe, co szlachci bardzo, długie, proste a gładkie. Odzienie jako sukienkę miała z biała czerwoną, płaszczyk jakoby modry tej barwy, jako niebo jasny. Głos Jej milutki, głośny, słodki, wiesioły, tak, iż rozlała się była łaska w uściech Jej, jako napisano w Psalmiech. Rozumu wysokiego i wielkiego, tak, iż wszystkiej roboty niewieściej się robić nauczyła, też wszystkie księgi prorockiej mądrości z młodości pamiętając umiała“

Ciekawie rozpowiada ksiądz Paterek o Prorokach, zwiastujących Odkupiciela i Matkę. Oto ustęp o Symeonie prawdziwym:

„Dziewiąty Prorok, Izajasz, napisał od dawnego czasu przed poczęciem i narodzeniem Tej Miłej Panny: „Oto Panna pocznie i porodzi Syna Bożego“. A napisawszy księgi proroctwa swego umarł jest, i szedł do otchłani, i powiedział Oćcom Świętym, iż takie proroctwo z objawienia Ducha Ś-go złożył. I było wesele w otchłani z proroctwa, i oczekiwali z weselem wyjaśnienia jego proroctwa, i modlili się Oćcowie w otchłani, i Prorocy na ziemi do Boga Wszechmocnego, aby raczył Tę Pannę na świat dać, któraż to Panna ma porodzić Zbawiciela wszego świata. A gdy się przybliżał czas zmiłowania Bożego, tedy z natchnienia i pobudzenia Ducha Ś-go, wziął Symeon, natenczas najwyższy kapłan, te księgi Izajasza ku czcieniu (czytaniu). A ten to Symeon, rzeczon sprawiedliwy i bogobojny, jął czcić owe księgi. A kiedyż Symeon czytał te słówka: „Oto Panna porodzi Zbawiciela,“ najsilniej rozpaliło się jego serce wielkiem nabożeństwem. Wszakoż jął się dziwować, myśląc a rzekąc sam w sobie: — Oto jako to ten Prorok nieroztropnie napisał, iżby Panna miała począć w czystości i porodzić! — I jął myślić Symeon:—I co to ten Prorok rozumiał, iż tak pisał? Widzi mi się, iż się omylił, bo to jest rzecz niepodobna, aby Panna miała począć. — I zamazał to słówko atramentem, i napisał tak swą ręką w księgach Izajasza: „Oto Młoda Niewiasta pocznie i porodzi.“ I tak mniemał Symeon, że naprawił zabłądzenie i nieroztropność Izajasza, a to było jeszcze przed poczęciem i narodzeniem Panny Maryi. Drugiegoż dnia tego

czasu jął Symeon czytać oneż księgi i jął się dziwić, iż jegoż pismo zamazano, a to zasię napisano, iż Panna pocznie i porodzi Zbawiciela. A wtedy Symeon skaził powtórnie ono pismo i napisał, iż Młodziuchna Niewiasta pocznie. A wypisawszy dwa razy, schował księgi opatrznie, aby ich nikt nie doszedł. Gdy trzeci raz przyszedł, jął czytać one księgi, uźrał a ono złotem napisano: „Oto Panna pocznie i porodzi Zbawiciela.“ Ale on w swoim uporze, znów chciał to skazić. A natychmiast Anioł Gabryel stanął przed nim od Boga zesłany, rzekąc jemu:

— O, mężu sprawiedliwy, Symeonie, mówię tobie od Boga posłany, oto iżeś proroctwu Izajaszowemu, Duchem Świętym natchnionemu, nie wierzył, odtychczas będziesz ślep, aż uźrysz Tę Pannę, która ma się wrychle narodzić, która ma Zbawiciela światu porodzić. Toż ty przeźrysz i piastować będziesz Syna Bożego, którego Ta Panna Czysta porodzi.

A także Symeon wnet oślnął i nie widział, a Anioł zniknął od niego, oślepiwszy go. O, najszczęśniejszy Symeonie! Twoje nieprędkie uwierzenie przyniosło tobie wesołe oczekiwanie; twoje na oczach zaślepienie oświeciło duszę i serce twoje. O, jakiegoż wesela był napełnion Symeon z oślepienia swego... O, jakoż żądliwie oczekiwał Symeon onej szczęsnej godziny, w którąby mu rzeczono: — „Oglądaj Tę Pannę, oto jest Ta, dla którejeś ty zaślepion.“ O, jakoż dusza i serce jego pałało gorącością ku Bogu, dziękując za oślepienie swoje.“

Ksiądz Paterek starannie i dokładnie wymienia rady i uchwały niebieskie. Tak naprzykład, mówi:

„Pan Bóg w radzie Trójcę Ś-tą pytał: jeśliby miał niewiastę stworzyć, któraby miała upad świata naprawić? Stało się skazanie, iż acz Pan Bóg mógł słusznie z którejkolwiek materyej ciało wziąć, a wszakże dla słuszności chciał z niewiasty, to jest z panny ciało przyjąć, dla trzech rzeczy. Pierwa, iżby niewieści rodzaj, jako wzgardzeńszy, nie był poniżon, ale aby przez Matkę Bożą był oszlachcion ku odkupieniu. Wtóre, by Chrystus był z inąd ciało przyjął, o Jego prawem ciele niktby był nie uwierzył. Trzecie, aby wszelki obyczaj człowieczego rodzenia był wypełnion: Jadam się bez męża i niewiasty rodził; Jewa z męża a bez niewiasty; my wszyscy i Panna Marya z męża i niewiasty: — słuszało Chrystusowi, naszemu Miłemu Panu, z Panny bez męża się było stać i narodzić, a tak przez Pannę świat odkupić.“

W starych kazaniach znachodzimy zawsze „*exempla*“, to jest historye świeckie i duchowne. Ksiądz Paterek hojnie onemi szafuje. Zaraz na pierwszej karcie opowiada dziw, iż „czasu króla Karolusa, przykazała była Marya Panna bratu króla węgierskiego, iżby święcił święto Poczęcia Jej, a za to jego potem uczyniła patryarchą.“

Nieco dalej czytamy: „Gdy z Angliej opat od króla swego jechał po morzu, tam już utonąć miał, do Panny nabożnie wołał. Tam się jako biskup człowiek ubrany okazał, rzekąc:

— Widzę, iżci mnie Panna Marya k tobie posłała, ślubi a obiecuj na każdy rok święcić święto Jej Poczęcia z swymi poddanymi, a żyw ostaniesz.

Co gdy obiecał, bez szkody ostał“.

Dalej jeszcze czytamy: „Uboga niektóra niewiasta dwie dzieweczki na służbę i ku naśladowaniu Panny Maryej w Jej cnotach i młodości wydała, a u ołtarza, przed obraz Panny Maryej one przywiódłszy, Jej poleciła. Potem, gdy się do domu wróciły, młodzieniec w czystem, białem odzieniu im się ukazał, a drogę uprzedziwszy, w dom ich sto funtów srebra ku wspomożeniu ich ubóstwa ostawił, upominając je ku służbie Panny Maryi. Sąsiedzi ich źli, to uźrawszy, zajrząc sromocić je jęli, rzekąc, jakoby to niepoczciwie nabyli. Co one z pokorą cierpiały, a Pannie Maryi się polecały, w czem je wysłuchała, bo w jedno święte swoje w kościele przed ludźmi Anioł, z nieba zstąpiwszy, wieńce z kwiecia przyniosłszy, im na głowę wdział, rzekąc:

— Te wianki Matka wasza, Marya, wam przysłała, na znamię waszego panieństwa w czystości zachowanego.

Książę onej ziemi i lud pospolity, widząc ten dziw tak wielki, dwa klasztory panieńskie zbudowali ku czci Panny Maryi, w których te panny starszemi uczynili, gdzie wiele panien mieszkając, żywota Panny Maryi naśladując, niebieską koronę wzięły. Żywot reguł tych świętych Panny tum wam wypisał, tego po was żądając, byście Ją w tem naśladowały, boście na każdy czas powinne więcej umieć lepszemi być, więcej uczynków miłosiernych czynić. Przykład i powód ku dobrym, miłosiernym uczynkom z tego Panny Maryi żywota, i tego książęcia, i tego ludu, wielki macie. Gdzie też proszę o Zdrowaś Maryę, by też Ta Panna mnie wspomogła, ku tej regule takiej świętości.“

Ostatni ustęp zdaje się wskazywać, że ksiądz Paterek kazania swoje głównie dla kobiet przeznaczył, może dla zakonnic.

Czciciel ten Maryi przy każdej sposobności żarliwie broni dogmatu Niepokalanego Jej Poczęcia. Mówi tedy z dumą: „Już każda szkoła krakowska tę naukę wyznaje.“ Ośmielających się występować z wątpliwościami, karci surowo i ostro: „Zgodnie mówią doktorowie, iż Najświętsza Panna była poświęcona wtedy, kiedy dusza Jej była wlana w ciało. Tu niekiedy mają potwierdzenia uporni, którzy się przeciwią zachowywaniu od grzechu, gdy mówią: Jest zachowana tedy, kiedy dusza w ciało wlana, a tam poświęcona, tedy uczynki mogą być dwa albo trzy razem, krom czasu uprzedzającego. Co im płacąc, mówię: Jako Krystus ukazał, iż dobry Syn ma mieć pieczę o Matce Swej, a Je-

go miłość była wszystkich miłości przykład, reguła i miara, najwyższej tedy miłości najmniejsza przeciwna nieprzyjaźń nie może być przymieszana, a przeto na żadny czasby najmniejszy Marya Panna nie była u Krystusa w nienawiści grzechu, którą nienawiść słusznieby był miał mieć, by Marya była którego czasu w grzechu.“

Ksiądz Paterek umie z dużym polotem prawić i silne wzruszenie wywoływać. Oto przykład:

„O, Boże Wielki, jako dziwna mądrość Twa, nieprzebadana rada Twa, iż tak przez niewiastę pomogłeś światu straconemu! O, synowie Jadamowi! o, synowie Jewy! o, zatraceni grzeszni! podnieście wasze dusze, zeznajcie, iż zbawienie wasze położone jest w ręku a w mocy Maryi, pilnoż służcie Maryi! O, wierna duszo uznaj, iż przez Maryę tobie żywot, przez Onę miłosierdzie, przez Nią łaska, pokój i chwała tobie ma być dana. Cóż tedy, duszo moja, co o, serce nabożne na chwałę Takiej Panny rzec możesz? Czem dostojnem oddać? Jaką słodkością, jaką czcią i jakim chwaleniem dostojnie, dostatecznie uczcić możesz, boć Ona nad wszystkie chwały dostojniejsza... Jedno rzekąc: — O! Najdostojniejsza Panno, nad wszystkie Błogosławiona! O! Miła, Litościwa Jezusa Matko! tego tylko proszę, tego żądam, aby Ty za nami grzesznymi wybrana, Matko Boga, nas grzesznych nie wzgardziła, ale miłosiernie Twego Syna Błogosławionego z Tobą, jako z Miłą Matką, i z innymi wszystkimi Świętymi, przez Cię, Panno, zbawionymi, królującego, daj nam bez końca w chwale pożywać, a Twej chwały wszystkim Świętym pomagać.“

Gdyby nawet utrzymać się nie dało przypuszczenie, że ksiądz Paterek jest pierwszym u nas autorem żywotu Najświętszej Panny Maryi (możnaby twierdzić, że przez ten żywot rozumiał on swoje kazania) — to w każdym razie zostanie on pierwszym autorem polskiego *Mariale*, to jest i kazań na święta Maryjne, i cudów Maryjnych. Że coś więcej niż owe trzy kazania na dwa święta planował, tego dowodzi, że w tych kazaniach żadnych innych okoliczności z żywota Maryi nie użył, bo widocznie miał na myśli w dalszych kazaniach dopiero o nich rozprawiać. Jasnem jest również, dlaczego te kazania nie zawierają prawie żadnego obroku duchownego. Przeznaczone dla czcicieli Maryi, sławiły Ją, całkiem Jej chwale są oddane. „Witaj, Królowo!”—oto właściwie ich myśl przewodnia, do niej ksiądz Paterek własne słowa nagina. Nawet w czyśćcu śpiewają Jej chwałę, więc on to powtarza. Kończy też pierwsze kazanie słowy:

„Przeto, o, Łaskawa Pani! Jedyna Nadziejo nasza, Twemu Synowi nas postawiwszy łasce, ofiaruj a one Twoje łaskawie oczy k nam obróć! O, prawdziwie Najczystsza a Niepokalana Marya, a prawdziwie Wielebna Pani, nad gwiazdy wywyższona, któremi chwałami chwalić Cię

mam, gdyż Ty jest Chwała Jeruzalem, Ty Poczesność ludu naszego, Tyś Matka nasza od grzechu zachowana, Tyś dusz naszych Ucieczka, Tyś Nadzieja, i Pomoc, i osobne serca naszego Pocieszenie! Ciebie prosimy, k Tobie wołamy, abyś przez onę Twojej czystości wielką łaskę, nam od słodkiego Jezusa uprosiła odpuszczenie grzechów, łaskę i chwałę. Amen.“

Obok księdza Paterka, staje inny czciciel Maryi: ksiądz Opeć. Napisał on „Żywot Chrystusa Pana“, posiłkując się głównie dziełem Ś-go Bonawentury; z tego również dzieła ułożył „Żywot Najświętszej Maryi Panny“, dopełniając go innemi nadto źródłami. W pracy swej wywodzi Maryę przez wszystkie Chóry Anielskie, przez Proroków i Ojców Kościoła, przez pierwszych naszych rodziców, aż przed Ojca i Syna. Uplata Jej koronę z dwunastu gwiazd i znaczenie każdej wyjaśnia. Marya, nawet podczas Męki Pańskiej, występuje u niego wybitnie. Próżne są Jej próby, ku Żydom zwrócone, ale Syna śledzi, o Niego Jana i Piotra wypytuje, u wszystkich niezakamieniałego serca spółczucie budzi. Przytoczymy niektóre ustępy z tego dzieła księdza Opcia. Oto rozdział drugi, zatytułowany: „Jako Panna Marya odmawiała, iżby męża nie pojęła?“

„Usłyszawszy te słowa (to jest — nalegania kapłanów), silnie się zasmuciła, a przemieniwszy Swe oblicze, zbladła i Jej wszystka barwa, która była jako róża rumiana, w bladość się przemieniła, ukazując czystość dziewiczego serca. Potem, westchnąwszy ku Bogu, onym książętom odpowiedziała, mówiąc:

— Iżeby już Bogu czystość ślubiła, a innego oblubieńca nadeń mieć nie chcę, bo Onego samego nadewszystko stworzenie miłuję, dlatego moją czystość Jemum poślubiła, a nadeń innego męża nigdy nie chcę poznać, ale się Jemu czysta i błogosławiona na zawżdy chcę chować, bo mej obietnice przełomić nie mogę. Tenci jest mój Oblubieniec, Mąż mój i Stróż dziewictwa mego, w Jego ziemi zawżdy są róże z lilią kwitnące i wszystko rozkoszne kwiecie. Tamo jest rozkoszna wonia cynamona i balsama, i wszystkiego rozkosznego kwiecia. Nigdy tamo nie jest lato gorące ani zimno marznące. Tamo ni płaczu, ani wzdychania, krzyku, ani którego strachu. Tamo ni głodu, wrzodu, ani którego boju. Tamo żadnej niemocy, ani której tęskliwości, bo tam jest wieczna radość i przezpieczność, zdrowie i mir wiekuisty. Tam jest zawżdy pewne pienie i wesele, tamo brzmią organy słodkiemi głosy, tamo Anieli i Archanioły pląsają, tamo mój Oblubieniec jest skrzypiec Ś-tych Panien, Jemuż służą nabożnie Chóry Anielskie, a Jego piękności dziwują się miesiąc i słońce, On jest wszystkich rzeczy Sprawcą i Król wszego świata. Temum oddana, ku Temum przyłączoną i wiekuistą miłością Jemu ślubiona, Onci mnie Swym pierścieniem także poślubił, Swym

posagiem osięgnął mnie Sobie, Onemum czystotę moją ślubiła, a nigdy męża poznać nie chcę. Przeto nie jest podobno, abym ten ślub złamała, który Wszechmogącemum ślubiła.“

A oto rozdział piąty, zatytułowany: „O modlitwie Błogosławionej Dziewice Maryje, gdy Jej kazano Józefa pojąć.“

„Uciekła się ku Bogu Wszechmogącemu z gorącemi łzami i poczęła się modlić z ciężkim wzdychaniem serca, rzekąc:

— O, Królu Niebieski, o, Wierny Obeźrzycielu każdego czystego serca, o, Miłośniku czystych myśli! Ty wiesz, iżem ja nigdy mego serca nie pokalała, ani mego ciała, zawdym mój duch czysto chowała, prócz Ciebie nicem innego nie żądała, ani miłowała, Tobiem Samemu kwiat mej czystości ofiarowała, Tobiem Samemu moje dziewictwo zachowała. Ale dzisia, mój Najmilszy Gospodynie, przynękają mnie, abym ten ślub i tę obietnicę przestąpiła, bo mnie już oddalają od Twej uciesznej słodkości. O, Jedyna Nadziejo mego zbawienia, proszę Ciebie, abyś nie dopuścił ślubu mego złamać, boś Ty jest mój Oblubieniec, a przybytku serca mego Osobny Wybraniec. Ciebiem miłowała, w Tobiem się radowała, Ciebiem zawżdy żądała, przez Ciebie, Najmilszy mój, nigdym oblubieńca nie szukała. Tyś Sam jest mój Oblubieniec, mój Bóg, mój Pan, mój Ojciec; Tyś Sam jest mnie najmilszy, z tysiąca wybrany. Dlatego, mój Najmilszy, i dziś Ciebie proszę, abyś mnie raczył miłościwie wybawić z tego wielkiego smutku.“

W rozdziale czwartym podobnie wzbrania się Józef:

— „Jam umyślił nigdy oblubienicy nie pojmować, bom wszystką miłość ziemską już opuścił, wszakoż aczbym miał tę wolę, iżbym chciał żonę pojąć, tedy wżdy niepodobno, abym tako Rozkosznej, tako Wielebnej, tako Świętej Dziewicy był oblubion. Ja nędzny, wszego ludu niższy, nie jestem dostojen, bom ja już przyrzekł w stare lata, a dlatego nie jest podobno, abym taką młodą i taką dostojną Dziewicę pojął.

I udał się na modlitwę, i począł Boga z gorącemi łzami prosić, rzekąc:

— Wszechmogący Stworzycielu nieba i ziemi, Opiekunie rodzaju człowieczego, Miłośniku czystości, proszę Cię, abyś mnie raczył zbawić, abym był godzien Tej Świętej Dziewicy, która jest Zwierciadło wszelkiej czystości i Przybytek wiecznego Bóstwa.

Gdy się tak modlił, Anioł się Jemu ukazał i począł go weselić, rzekąc:

— Józefie, sługo Boży, nie smęć się oto, ale się wesel, a ślubi Maryę za oblubienicę, boć Ta jest wedle twego obiecania Wierna Miłośnica dziewictwa i Świeca świętej czystoty. A według Swej wolej, Ona żąda czystą dziewicą na wieki ostać, bo przez Jej dziewictwo anielskie inne będzie naprawione (to znaczy — szatan przez pychę strącony

do piekła, zabrał ze sobą tylu innych, opustoszały Chóry Anielskie, ale ludzie je napełnią, gdy się zbawienie dokona za sprawą Maryi). Przez to dziewictwo będzie wszystek świat zbawion; przez to, Królestwo Niebieskie będzie powyszone; przez to moc piekielna będzie rozbita. Dlatego jest to wola Miłego Boga, abyś Ją sobie poślubił, chowając Ją zawsze w Jej dostojeństwie, omyślając i służąc Jej w Jej potrzebie, jako swej Królewnie.“

Zarówno ksiądz Paterek, jak i ksiądz Opeć, uzupełniali dzieła swoje o Najświętszej Pannie Maryi z rozmaitych utworów spółczesnych i dawniejszych. Takich utworów było sporo. Naprzykład o Wniebowzięciu Bogurodzicy opowiadała obszernie stara legenda. Posiadamy pieśń, sięgającą początku XVI wieku, gdzie cała ta legenda jest powtórzona. Zaczyna się ta pieśń:

„Już się Angieli wiesielą, na niebie słodko śpiewają, bo Marya w niebo idzie, radujcie się wszystcy ludzie“. Pieśń to długa, 26 strof liczy. Zamiast ją powtarzać, przytoczymy modlitwę z „Modlitewnika Siostry Konstancyi“, pochodzącego z r. 1527, zawierającą niby streszczenie całej legendy:

„Z głębokości w Bóstwo posadzona, gdy miała umrzeć, prawie wszystka wnikała w Boga. Z anielskiego nawiedzenia, a Anioł Jej się istnie ukazał, powiadając, iż trzeciego dnia przyjdzie po Cię Syn Twój. Z apostolskiego zebrania, które Bóg dziwno zebrał ku śmierci Matuchny Swojej, jako tego przez Anioła żądała (tylko Ś-ty Tomasz na czas nie zdążył). Z wesołego dokonania, gdy się ukazał Syn, Pan Jezus, mówiąc:

— Matuchno moja miła, pójdź do nieba!“

(Tu w modlitwie brak o tem, jak Żydzi chcieli przeszkodzić pogrzebowi Maryi; jak ich kapłan rzucił się ku marom, ale mu ręce przyschły i dopiero za prośbą Apostołów władzę w nich odzyskał).

„Z dziwnego do nieba prowadzenia, z duszą i z ciałem, Sam Pan Jezus ze wszystkiemi Anioły.“

(Tu należy dopełnić modlitwę pieśnią, jak dziewięć Chórów Anielskich po kolei Maryę przyjmują: „Anieli słodko śpiewali, a bardzo się radowali, gdy Marya w niebie wzięta, święcili Jej Anieli święta. Archanieli i Anieli wyjawili Jej tajemności, gdy Maryę prowadzili a nowe pienia śpiewali. Potestaci a skromliwi szatańskiej mocy bronili, ci szatany odpędzili, gdy Maryę prowadzili“).

Modlitwa kończy się słowy:

„Z wysokiego posadzenia, posadził Ją Syn na prawicy Swojej i powyższył nad wszystkie Anioły. O, jakie to wesele Pannie! We wszystkich Świętych uweselenia, bo wszyscy tego dnia czekali, aby Matkę Bożą oglądali.“

Modlitwa ta stanowi część „Nabożnych rozmyślań radości Panny Maryi w Jej święta, od Poczęcia zacząwszy.“ Zawierają te rozmyślania mnóstwo szczegółów z życia Maryi. Oto w jednem czytamy: „Będąc w żywocie jeszcze matki Swej, Marya zupełnie pożywała rozumu, jako o tem pisze Jakub de Valentia, biskup krystopolitański.“ W innem rozmyślaniu, na Narodzenie, powiedziano: „Radość z anielskiego obcowania, jako się rychło narodziła, już ze Świętymi Aniołami obcowała, a potem w Kościele Bożym.“

Posiadamy także „Siedm boleści Maryi“, ku Jej czci napisane. Osnowa ich taka:

„O, Panno Dostojna, Matko Miłościwa, wielką boleść miałaś czasu onego, gdy Ś-ty Jan do Betanii przyszedł i powiedział o Synie Twoim, iż jęt od Żydów. O, Panno Dostojna, gdyś to słyszała, upadłaś na oblicze Twoje.

O, Panno Dostojna, Matko Miłościwa, wielkążeś boleść miała czasu onego, gdyś szła do Jeruzalem, gdyś widziała Syna Swego Najmilszego tako uplwanego, ubiczowanego, cierniową koroną ukoronowanego, gdyś rzekła do Jana Ś-go:

— O, Janie Ś-ty, tyś z Nim wiele obcował, tyś na Jego piersiach odpoczywał, tajemnice Jego widział. O, Maryo Magdaleno, tyś nogi Jego umywała, słów u nóg Jego słuchała, maściami głowę Jego mazała... Poznajcież, iż ci to Syn mój.

O, Panno Dostojna, Syn Twój, Pan nasz. O, Panno Dostojna, gdyś to usłyszała, gdyś poleciała na oblicze twoje, aleś od nabożnych niewiast zatrzymana.

O, Panno Dostojna, Matko Miłościwa, wielkążeś miała boleść czasu onego, gdyś na ratuszu stanęła, gdyś usłyszała ono nielitościwe okazanie, któreż było skazano o Synie Twoim, gdy rzekł Piłat: — Ja skazuję Jezusa Nazareńskiego na śmierć krzyżową, Syna Maryi Józefowego ręce i nodze przebić goździmi żelaznemi, z tej tafty (purpury) zwlec, w sukienkę Jego oblec, aby był świadom ludziom i dzieciom.

O, Panno Dostojna, Matko Miłościwa, wielkążeś boleść miała czasu onego, gdyś widziała Syna Swego Najmilejszego, gdy Go z tafty zwleczono, w sukienkę obleczono, gdy koronę na Jego Najświętszą Głowę wbijali.“

Tyle tylko zachowało się „Siedmiu boleści Maryi“, zabytku, pochodzącego zdaniem profesora Brücknera, z XV stulecia. Uczony nasz czyni uwagę, iż posiadamy jeszcze, w „Pieśniach postnych starożytnych“ pieśń o Koronce Najświętszej Panny Maryi, w której to pieśni również są rozpamiętywane „Boleści Bogarodzicy.“ Pieśń rzeczona brzmi:

„Pierwsza boleść serca Maryi, gdy Jan Ś-ty przyszedł do Betanii, mówiąc:

— O, Ciotuchno moja! żałosna dziś będzie duszyczka Twoja. Jużci jęt Synaczek Twój Najmilejszy, Braciszek i też Mistrz mój Najwdzięczniejszy. Widziałem Go związanego a pośrodku ludu niełaskawego.

Wtórą boleść Marya miała, gdy w piątek z zarania Syna uźrzała, jako łotra związanego, łańcuch na szyi wielki noszącego. Ach mój smętku, moja żałości...

Trzecią boleść Pannie zadano, gdy Jezusa okrutnie biczowano.

Czwarty smutek Panna cierpiała, gdy się z Swym Synem pod miastem potkała.

Piąta boleść Panieńska była, gdy złość ludzka na krzyż Jezusa wbiła.“

Godzi się zauważyć, iż owe „Lamentacye Maryi“ bardzo przypominają inny, bardzo stary a niezmiernie ciekawy utwór religijny, opiewający spór duszy z ciałem w chwili śmierci. Oto ten utwór:

„Ach, mój smutku, ma żałości! Nie mogę się dowiedzieci, gdzie mam pirwy nocleg mieci, gdy dusza z ciała wyleci...

Byłem w młodości w rozkoszy, nie usłałem w czas mej duszy, już stękam, płaczę już umrzeć, dusza nie wie kam się podzieć.

Com miał w gumnie i na dworze, com miał w skrzyni i w komorze, toć mi juże opuścici, na wieki się nie wrócici.

Dziatki w smętku narzekają, przyjaciele mnie żałują, ku imieniu przymierzają, na mą duszę nic nie dbają.

Eja! Eja! duszo moja, ocuci się, długoś spała, nie masz wierniejszego ksobie, uczyń dobrze sama sobie.

W fałszywym świecie byt kładłem, bym na nim długo żyw być miał, aże nigdym się z swych grzechów sprawiedliwie nie spowiadał.

Gdzie ma siła? Ma robota? Głupiom robił przez swe lata! Pięć miar płótna, ośm stóp w grobie — tyćkom sam urobił sobie.

Halerzem (pieniądze) łakomo zbierał, swój żywot rozpustnie chował, przez te dwa bogi przeklęte nie czciłem żadnego święta.

Jałmużnym nędznym nie dawał, ofiarym Bogu nie czynił, ni z pirwiny ni z nowiny Bogum nie dał dziesięciny.

Kędy to mój rozum głupi — sobiem był szczodr, Bogu skąpy, com kiedy Bogu poślubił, tegom nigdy nie uczynił.“

Długo jeszcze dusza boleje nad swemi grzechami, wreszcie zwraca się do Boga:

„Wiercę się, nie mam pomocy! Nic ktoby za mnie co daci! Nic przyjaciół na tym świecie, w Samym mam Bodze nadzieję.

Kryste, Stwórco Miłościwy, przez Twe święte umęczenie, daj duszycce przeżegnanie, a dyabelskie odpędzenie.

Zapalcie mi świeczkę ale, moi mili przyjaciele! Idzie dusza krwawym potem, co mnie dzisia, to wam potem.“

Rozpatrzyliśmy w niniejszym artykule tylko niektóre, główniejsze zabytki piśmiennictwa religijnego, czci Maryi poświęconego; w przyszłości zapoznamy czytelników z innemi. Są to wszystko rzeczy bardzo ciekawe i budujące, a przytem rozpatrując się w nich, poznajemy także dawny nasz język ojczysty. Sądzimy też, że rozważanie zabytków piśmienniczych, mających na celu cześć Bogarodzicy, właściwe jest w roku, w którym świat katolicki obchodzi radośnie jubileusz dogmatu Niepokalanego Poczęcia.





ŻYWOT ZBAWICIELA ŚWIATA
Pana Naszego Jezusa Chrystusa
według Ewangelij Świętych opowiedziany
przez Sługę Bożego.

Z góry cudny widok roztacza się dokoła. Na wschód, za równiną Jordanu, widzimy górę Nebo i płaskowzgórza Perei; na północ — Hermon ze szczytem śnieżnym, mieniącym się promiennie w blaskach słonecznych; na południe — morze Martwe, połyskujące niby ogromna tafla matowego srebra; na zachód krainę Judzką, pustą, zasianą niezliczonemi wzgórzami, porosłemi skąpo mizerną trawą, która żółknie i ginie od pierwszych promieni słońca letniego. Dalej widać Jerozolimę, chroniącą się za górę Oliwną. Słowem, że pustynia i góry łączą się na wytworzenie całości pełnej groźnego majestatu.

Tu prawdopodobnie schronił się Jezus, w pieczarze skalnej, wpośród dzikich zwierząt, mając nad głową jasne przestworza niebios, pod któremi rozbrzmiewały tajemnicze poszumy głosów Bożych. Do pielgrzyma który się tam dzisiaj zabłąka, przemawiają jeno wspomnienia. Wydaje mu się, że widzi postać Chrystusa, unoszącą się po nad temi szczytami martwemi; że widzi, jak On w samotności rozmyśla; ze czcią pogląda na zwały skaliste, gdyż On może na nich spoczywał. Jezus, z onych wyżyn, obejmował wzrokiem równinę Jordanu, którą niedawno

opuścił; patrzył na tłumy, które zewsząd dążyły do tego, co Mu drogę gotował; a zwróciwszy się w stronę przeciwną, miał przed oczyma drogę z Jerycha do Jerozolimy, po której iść będzie na spotkanie śmierci męczeńskiej.

Znalazłszy się na puszczy, przedewszystkiem zatopił się w modlitwie, wszystkie władze Swej duszy ludzkiej skierował do Boga Ojca Swego. Ci, którzy doświadczyli na samych sobie zachwyceń Bożych — powiada autor francuski — którzy pełnemi usty pili ze zdroju rozkoszy Boskich i, jak Paweł Ś-ty, „słyszeli tajemne słowa, których się nie godzi człowiekowi mówić“, — ci Święci tylko zdołaliby upatrzeć, myślą i sercem, jaki z promieni jasności duszy Jezusa modlącego się, Ojcu Swemu pokłon oddającego, pogrążonego w bogomyślności. Widział wtedy w woli Ojca całą wielkość i piękność zadania, jakie miał spełnić; mierzył myślą wszystkie trudności onego; czuł sercem wszelkie boleści i ofiary; przystępując do dzieła, wnikał duchem we wszystkie wyroki mądrości, sprawiedliwości i litości nieskończonej, ku zbawieniu upadłego świata. Przed oczyma Jego, oświeconemi jasnością światłości przedwiecznej, stanęły wyraźnie i konanie w Ogrójcu, i Golgota, i śmierć; doznawał radosnych wzruszeń duszy, opływającej w rozkosze Boże, i ucisku duszy, strwożonej widokiem oczekujących ją walk i cierpień straszliwych.

Dusze, w Bogu rozmiłowane, po wszystkie wieki czuły pociąg do pustyń. Przez pustynię przeszli wszyscy mężowie apostolscy, tam się przygotowywali do pracy powołania. Jezus w przyszłości często będzie zalecał samotność, a zalecanie to przykładem osobistym będzie stwierdzał, będzie wskazywał i nauczał, słowem i czynem, że samotność jest koniecznym warunkiem modlitwy, odpoczynkiem dla ducha, schronieniem przed zasadzkami wrogów. Usuwając się na puszczę teraz, po chrzcie Swoim, pragnie doskonale skupić się w Sobie, jak to czynili wszyscy mężowie, przystępując do ważnego niepospolicie dzieła. Bowiem kto zdaje sobie sprawę ze szczytnego posłanictwa, ten czuje olbrzymią odpowiedzialność, lęka się własnej ułomności i niemocy, przeto rad się na czas niejaki usuwa od wszelkich zgiełków wewnętrznych, aby wejść w siebie, rozpatrzeć się w sobie. Samotność do Boga zbliża, myśl i serce oczyszcza, hartuje ducha, budzi męstwo.

Mojżesz na szczycie góry Horeb szukał Boga; prześladowany złością ludzką Eliasz w puszczy znalazł schronisko; Jan Chrzciciel życie całe spędził w puszczy, tam wzrastał, tam umacniał się, obcując z Duchem Ś-tym; Paweł Ś-ty również na pustynię Arabską podążył, aby tam rozważać słowo Pana, który go obalił w drodze do Damaszku; wreszcie, w późniejszym już czasie, uczniowie Mistrza, chcąc uniknąć skażenia, jakiem ludzi dotyka świat, tłumnie dążyli na pustynię Tebaidy, tam mieszka-

jąc w podobnych do grobów pieczarach skalnych, pogrążali się w bogomyślności. Jezus inne miał zadanie, więc nie mógł stale w puszczy zamieszkać; posłużyła Mu ona tylko za miejsce chwilowego wytchnienia. Nie szukał tam, jak inni, Boga, gdyż Boga nosił w Sobie; udał się tam nie po to, aby zebrać myśli, aby usłyszeć wewnętrzne słowo Swoje, bo zawsze i wszędzie słyszy je — zarówno w Nazarecie, jak nad Jordanem, zarówno wśród wrzasku tłumów, jak w samotnej ciszy; ani też udał się tam nad planem Swoim zbawienia rozważać, bo plan ten cały spoczywa gotowym w Duchu, który jest Jego światłością, radą, siłą poruszającą, nadającą zawsze skuteczny popęd Jego woli. Najwięksi, najświętsi mężowie w samotności szukali siły — Jezus udał się na pustynię, aby siłę Swoją okazać; tamci szukali spoczynku, odpocznienia— Jezus walki; tamci chronili się od złego — Jezus w samotności chce się modlić, stoczyć walkę z szatanem, pokonać go. Ogłoszony Synem Bożym przez Boga Samego, nie uchyli się jednak przed bolesnemi warunkami natury ludzkiej. Już przy chrzcie Swoim uczynił publiczne wyznanie pokuty, uczynił ofiarę z Siebie — teraz podda się pokusom i próbom, gdyż one do ludzkiego należą jarzma.

Pokusa, próba — nadmienia pisarz kościelny — to dwa wyrazy niemal jednoznaczące; w zastosowaniu do istot wolną obdarzonych wolą, jedna i druga zmierza ku doświadczeniu ich cnoty, ich wartości wewnętrznej. Próba bądź pokusa staje przed niemi jako zawada, wznosząca się pomiędzy ich wolą a obowiązkiem: wolą, która ma działać; obowiązkiem, który jest wskazówką i celem działania. Owa zawada może pochodzić bądź z samej natury naszej, odwracającej się od trudu, cierpień, ofiary i śmierci. Niema człowieka, którego obowiązek nie skazywałby na cierpienie, na poświęcenie samego siebie; są ludzie, których obowiązek nęka brzemieniem długich boleści; są i tacy, którym każe śmierć ponieść. To jest próba ogólna, zgotowana wszelkiemu stworzeniu wolnemu; stworzenie szuka Boga w spełnieniu zadania i przeznaczenia swego, a na to, aby mogło Go znaleźć, musi uczynić ofiarę z Samego siebie.

Ktokolwiek bada i rozważa naturę swoją snadno dostrzeże, iż obok najszlachetniejszych pożądań i najzdrowszych popędów, nurtują w niej siły zdrożne, stanowiące pokusę, odwodzącą od obowiązków i przeznaczenia, zakreślonego człowiekowi. Zmysłowość i pycha odwracają nas od Boga. Pierwsza popycha nas silnie do nadużywania rozkoszy, zadawalając ziemskie nasze chucie; druga zasklepia nas w samych sobie, każe nam szukać wskazań dla myśli naszych, szukać siły życia we własnym umyśle i własnej woli. Takie są dwie postacie samolubstwa, nurtującego w głębi natury naszej, utworzonej z dwojakiego materyału. Jedna postać to samolubstwo ciała, odmawiające posłuszeństwa Bogu

i duchowi; druga to zmysłowość ducha, rozmiłowanego w samym sobie i sprzeciwiającego się również Bogu, który przecież jest wszystkiego początkiem. Człowiek, którym te dwie złe siły owładną, staje się dla otoczenia swego wyniosłym ciemiężcą, chciwie pożąda władzy, pragnie ujarzmiać i panować. Przemoc, podstęp, morderstwo, kłamstwo, groźba, pochlebstwo—oto jakich środków chwyta się taki człowiek dla dopięcia celów swoich.

Zmysłowość jest matką-rodzicielką wszystkich żądz zdrożnych, jak znów pycha jest matką-rodzicielką wszystkich grzechów ducha. Pycha i zmysłowość w połączeniu tworzą samolubstwo, to jest niepohamowane umiłowanie samego siebie, skłaniające człowieka, aby siebie za środek i ognisko wszystkiego uważał. Samolubstwo trawi społeczność ludzką, podkopuje ją, zatruwa, tamuje rozwój, odsuwa ją od Boga. Społeczność samolubna tworzy królestwo złego, czyli, jak je w przyszłości nazwie Jezus — świat, który Jego nie zna, który nienawidzi Jego i tych, co są z Niego, który dla Niego i dla tamtych stanie się zbrodniczym ciemiężycielem, o którym jednak On powie kiedyś, podnosząc strwożonego ducha uczniów:

— Nie trwożcie się, jam zwyciężył świat.

Społeczność samolubna, owo środowisko skażenia, istotnie człowieka sprawiedliwego, świętego nie znosi, bowiem sam widok takiego człowieka drażni ją, razi, jest dla niej wyrzutem milczącym. Wszelki wysłaniec Boży, wszelki uprawiający sprawę Bożą, oburza ją na siebie, zwraca ją przeciwko sobie, a to tem zajadlej, im jest doskonalszym i silniejszym. Owo złe królestwo osnuwa męża Bożego całym murem pokus, często tak gwałtownych i groźnych, że zdolne są one niekiedy zachwiać najsilniejszą wolę.

Wszakże aby zrozumieć całą doniosłość i wspaniałość onej próby ludzkiej, której tajemnicę bolesną odsłonić mamy, snując dzieje Żywota Jezusa, musimy jeszcze nadmienić o groźniejszym czynniku, w pokusach tego świata działającym, to jest o duchach wyższych od człowieka, wywierających na ziemskie jego życie wpływ poważny.

Wszystkie twory wszechświata są z sobą w pewnym związku. Jak planeta w obrotach swoich, w najdrobniejszych przemianach swoich, pozostaje w związku z tem niebem, wśród którego się obraca i ze wszystkiemi innemi gwiazdami: tak samo człowiek ma związek z duchami, zajmującemi miejsca pośrednie pomiędzy nim a Bogiem. One wpływają na jego wolę, pożądania, namiętności, myśli, czyny, słowem— na całe jego życie. Mnóstwo tajemnych poduszczeń od nich pochodzi, a nauka religijna Starego Testamentu ukazywała po wszystkie czasy w tych zastępach niewidomych źródło, pobudkę, początek złego. Właśnie taka istota niewidoma, w której przewrotność urosła do najwyższe-

go stopnia, zasiała w duszy człowieka, wypuszczonego z rąk Stwórcy czystym i prawym—pychę i zmysłowość, samolubstwo i śmierć. Ewangelie tę istotę zowią Dyabłem, a Jezus nazywa ją różnie: Duchem Złym, Szatanem, Nieprzyjacielem, Książęciem tego świata, Mężobójcą od początku. Każdy człowiek, mniej lub więcej świadomie, doznaje na sobie złośliwych jej wpływów; tajemne działanie szatana obudza w nas złe skłonności. W świecie ziemskim, do wszystkich zdrożności tak pohopnym, wywiera on wpływ tem groźniejszy, ponieważ skrycie, niewidomie, nieuchwytnie stawia czoło Królestwu Bożemu, pracuje nad ustanowieniem własnego królestwa swego.

W „Słowniku Apologetycznym Wiary Katolickiej“ księdza Wł. Szcześniaka czytamy w tej mierze dokładne objaśnienia:

Wyrazy Dyabeł, Demon, oznaczają Aniołów, czyli duchów, które w początkach istnienia świata buntowały się przeciw Bogu, Stwórcy swojemu, i zamiast posiąść wieczne szczęście, będące dziedzictwem Aniołów dobrych, skazane zostały na wieczne męki w piekle. Wodza tych duchów potępionych Pismo Ś-te nazywa Szatanem, Lucyperem, Belzebubem. Istnienie dyabłów i wodza ich, książęcia czartowskiego, jest najwyraźniej stwierdzone przez Pismo Święte; jestto prawda, sięgająca początków wiary, związana z prawdą o grzechu pierworodnym, w nauce Kościoła katolickiego o odkupieniu zawarta, w opisach życia Jezusa opowiadana, przez Kościół katolicki w zasadach moralności, w modlitwach i obrzędach wyraźnie wyznawana, w praktyce, w jej rocznikach i w historyi duchów stwierdzona, i przez IV-ty Sobór Lateraneński określona.

Liczba dyabłów nie jest wiadoma, lecz z Pisma Ś-go domyśleć się można, że jest wielka. Niewiadomo też z pewnością, czy dyabły dzielą się na stopnie, lecz prawdopodobnie urządzenie takie wśród nich istnieje, ponieważ Jezus mówi o szatanach „gorszych od jednego z nich“, co tem się tłumaczy, iż ci Aniołowie, którzy posiadali wyższą naturę i łaskę, dopuścili się też wyższej zdrady, zbrodni i złości.

Objawienie Boże wątpić nam nie pozwala, iż szatani wywierają wpływ na ludzi za pomocą bądź wrażenia, bądź napaści i kuszenia, bądź opętania. Oni też w życiu przyszłem będą dla potępionych narzędziem kaźni i tortur. Wpływ szatanów może się rozciągać, i rzeczywiście się rozciąga, na istoty niższe od człowieka, a to bądź ze złej woli samego szatana, bądź też z wyraźnego dopuszczenia Bożego.

Kościół, tłumacząc znajdujące się w Piśmie Ś-tem zdarzenia wróżbiarstwa i czarnoksięstwa (magii), nie pozwala również zaprzeczać rzeczywistości, a tembardziej możliwości wyraźnej lub niewyraźnej umowy człowieka z dyabłem, zawieranej we spólnych celach, których ostatecznym końcem jest walka z Bogiem i zguba dusz ludzkich.

Wszystko powiedziane wyżej ostatecznie potwierdził Jezus, ustanawiając egzorcystów (to jest — osoby, upoważnione do usuwania złego ducha), których Kościół umieścił w rzędzie swoich mniejszych święceń ministrów, przepisał im pewien sposób postępowania, tudzież wskazał środki, jakie mają być przedsiębrane przy wykonywaniu tego trudnego obowiązku, obecnie dostępnego jedynie dla kapłanów.

Otóż, wracając do życia Zbawiciela, powiemy, że ze wszystkich prób i pokus, jakim podlega społeczność ludzka, bądź w całej gromadzie swojej, bądź też w każdym z członków swoich, jest jedna jedyna, której Jezus nie mógł doznać na sobie, a mianowicie ta, której za podstawę służy natura, grzechem skażona. W naturze Jezusa nie było żadnej zdrożności, żadnej pychy, żadnego samolubstwa, żadnego skażenia— złe Go wcale nie dotknęło. Prawu ogólnemu nie podlegał, Sam o tem często nadmieniał uczniom, najwyraźniej zaś to zaznaczył w ostatniej z nimi rozmowie słowy:

— Już wiele z wami mówić nie będę, albowiem idzie książę świata tego, a we mnie nic nie ma.

Znaczyło to:

— Szatan pobudza Żydów, już idą na mnie z jego poduszczenia, lecz on do mnie żadnego prawa nie ma, bo jestem bez grzechu.

Ale chociaż nie mógł doznać pokusy, której koniecznym warunkiem jest, żeby złe istniało w kuszonym; chociaż wskutek najwyższej świętości Swojej nie doświadczył na Sobie wewnętrznej walki ciała przeciw duchowi i ducha przeciw ciału, ani złudzeń, niepewności i błędów rozumu, ani popędliwości, niemocy, wahania się, niestateczności i wykroczeń woli: to jednak zawsze pozostawał człowiekiem prawdziwym, poddanym próbie i doświadczeniu. Pokusa nie mogła być dla Niego pobudką do złego, była tylko cierpieniem i walką; wszakże to stanowcze odgraniczenie Go od złego w niczem nie uwłaczało prawom ludzkiej Jego natury, bo złe nie należy do natury naszej, owszem — rani ją, kazi i szpeci. Natomiast z drugiej strony, Jezus silniej niż inni z ową naturą ludzką się związał.

Bo w miarę, jak dusza wyżej się podniesie, i od złego wewnątrz się wyzwoli, i namiętności swoje powściągnie, i samolubstwo pierworodne stłumi miłością Bożą, a pychę pokorą, a żądzę wyniesienia siebie bezinteresownością: to i walki wewnętrze stopniowo w niej się uśmierzają. Aliści dusza, chociażby najbliżej dorosła podobieństwa z Jezusem, jednak pokoju nie dozna. I Jezus go nie doznał. Teraz właśnie nastaje dla Niego termin gorących i gwałtownych walk wewnętrznych. Jezus, podobnie, jak my, „nie ma biedzenia przeciwko ciału i krwi, ale przeciwko książętom i władzom, przeciwko rządcom świata tych ciemno-

ści, przeciwko duchownym złościom.“ — to jest duchom złym, które wszędy krążą, wzniecając i rozdmuchując nawałności pokusy. Wszystkie napaści tych duchów zwrócą się na Jezusa z tak zajadłą gwałtownością, że On, który je zniesie, nie ma równego sobie wśród bohaterskiego plemienia tych, co walczą, cierpią, potykają się aż do śmiertelnego konania za sprawą Boga; którzy czoło stawiają światu, tryumf odnoszą nad jego skażeniem, na głowę pokonywają szatana, w sobie i dokoła siebie niweczą panowanie jego.

Człowiek dobry i prawy, sprawiedliwy i święty, cierpi niewymownie, jeśli widzi złe, a nawet jeśli zły duch pod jakimkolwiek pozorem zbliży się do niego. Chociaż wolną wolą ubezpieczy się od jego napaści, jednak sama obecność szatana zadaje mu mękę. Jezus i tej boleści chciał doznać; zanim przyjdzie godzina, w której, posłuszny Ojcu Swemu, będzie pił ze strumienia wszelkiej męki, prześladowanie ludzkie wycierpi aż do śmierci, — ciało Swoje daje w moc szatana, pozwala złemu duchowi obrać Siebie za cel pokus piekielnych. Na progu Swej drogi zbawczej spotyka się oko w oko ze źródłem złego i ta walka zewnętrzna otwiera Jego życie publiczne. A oto jak się ona walka odbyła.

Jezus na puszczy pościł. Jak niegdyś Mojżesz i Eliasz, przez dni czterdzieści i czterdzieści nocy ani jadł, ani pił, nie czuł żądła głodu. Wszelkie wymagania natury w Nim umilkły, wyzwolił się chwilowo z ich niewoli. Po upływie dni i nocy czterdziestu, wrócił znów pod rygor praw ludzkich, uczuł potrzebę wzmocnienia sił Swoich, uczuł głód. Wówczas przystąpił do Niego szatan.

Szatan rozważa, co za jeden ów nowy Prorok, na którego Duch widomie zstąpił; którego głos z nieba nazwał Synem najmilszym Ojca? Nie może dociec, lecz domyśla się, podejrzewa, że kto wie, czy to nie Mesyasz ów Nieznajomy, skromnej nader postaci, niezdradzającej, iżby się w Nim jaka ukrywała wielkość?

Żadne stworzenie nie zna, chyba tylko przez wiarę albo przez bezpośrednie objawienie, onego związku niewypowiedzianego, który w Jezusie naturę Boską z ludzką połączył. Ale duch złego, duch przeczenia i oszczerstwa, gwałtu i chytrości, skażenia i błędu, wszelką wiarę hardo odrzuca, nie dopuszcza do siebie żadnego objawienia, znaki zewnętrzne budzą w nim podejrzenie, lecz nie oświecają go. Ponieważ był i pozostanie na zawsze zawziętym wrogiem każdego, kto dąży do prawdy i dobra, kto pragnie zbawienia i odrodzenia człowieka, więc jest zarazem wrogiem Tego, w którym się domyśla Posłannika, niosącego człowiekowi siłę, światło i pokój od Boga. To też prawdziwem imieniem złego ducha jest — Antychryst. Podstępnie korzysta z chwili, w której Jezus doznaje na Sobie skutków słabości ludzkiej, zbliża się do Niego

i jakby Go chcąc zmusić od objawienia Siebie, mówi, ukazując kamienie, gęsto rozsiane w puszczy:

— Jeśliś Syn Boży, rzeknij, aby te kamienie stały się chlebem.

Była to pokusa zdradliwa, niebezpieczna, cóż bowiem może być słuszniejszego nad zaspokojenie głodu, tej najpierwszej potrzeby każdej istoty żyjącej? Grunt w puszczy pożywienia nie wydaje, jeżeli jednak Jezus jest Synem Bożym, to Bóg wysłucha Jego żądania i kamienie staną się chlebem.

Kusiciel, przeczuwając w Jezusie Mesyasza, podsuwa Mu myśl, aby dla korzyści własnej, dla zadowolenia Swego, używając wszechmocy Swojej, zawiesił prawa, rządzące światem; pociąga Go do samowolnej, dla zaspokojenia własnej potrzeby, cudotwórczości. Wszystek charakter złego ducha ujawnia się w tych pozornie prostych i niewinnych słowach, więc: samolubstwo, zmysłowość, pragnienie uczynienia Boga sługą swoim. Za tą radą szatańską idą zawsze fałszywi Prorocy: zawsze stawiają swój własny interes po nad wolą i wszechmocnością Boga; udając wiernych sług Boga, w skrytości pragną Mu rozkazywać. To też wszystkie rzekome cuda takich proroków fałszywych są w gruncie rzeczy czarnoksięstwem, to jest—są dokonywane za sprawą szatana.

Odtrącił Jezus kusiciela słowem pełnem najwyższej powagi:

— Nie samym chlebem człowiek żyje, ale wszelkiem słowem, które pochodzi z ust Bożych.

To znaczy, że będzie się żywił, jak Ojca wola. Jeśli wolą Ojca jest, by głód cierpiał to mocą ducha zapanuje nad potrzebami ciała. Twórcze, ożywiające słowo Boga zdolne jest zastąpić pokarm, również przez nie stworzony na utrzymanie życia. Jeżeli Bogu spodoba się żywić Go słowem Swojem, to już Mu pokarm stworzony nie potrzebny. Jezus, jako prawdziwy Syn Boga, nie uprzedza woli i rozkazu Ojca Swego; mimo, że potrzeba Go uciska, poddaje się spokojnie ustanowionemu przez Ojca porządkowi. Na Boga zdaje wszystko, bo Bóg za wszystko starczy.

(D. c. n.)





Najświętsza Marya Panna Niepokalanie Poczęta.
(Podług oryginału Jana Gagliardi'ego).

NIEPOKALANA...

„Jako lilia srebrzysta pośród ziemi cierni,
Tak przyjaciołka moja śród Adama cór“,
I po wsze czasy, wszystkich wieków wierni
Z Niepokalanej czerpać będą wzór.

Bo Ona Jedna na tym łez padole,
Za Bożą sprawą, bez zmazy poczęta,
Z krasą dziewictwa na niebiańskiem czole,
Zeszła na ziemię, już od wieków święta.

Bo Ona Jedna, niczem nieskalana,
Bożej miłości ogarnęła zdrój,
I w oceanie miłości skąpana,
Miłując, żywot przepędziła Swój.

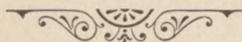
Bo Ona Jedna, bez najmniejszej plamy,
Tkankę nadziei potrafiła snuć,
Choć srogie burze pozrywały tamy
I fale cierpień unosiły łódź.

Bo Ona Jedna, jasna, jako zorze,
Co złote słońce sprowadziła nam,
Spełniać umiała wszystkie cnoty Boże,
Przeczystą poszła aż do niebios bram.

I pełna łaski, z niebiańskiej krainy,
Promienie Swoje na ten zsyła świat,
Przed wszem stworzeniem była już bez winy,
Bielsza i czystsza, niźli lilii kwiat...

Jak kropla mała morza nie ogarnie,
A ziarnko piasku wielkich szczytów gór,
Tak chwałę Maryi człowiek głosi marnie,
A chciałby śpiewać, jak aniołów chór...

L. M.



Bogarodzica naszą Matką.

Marya na Kalwaryi.

Najświętsza Marya Panna przez swe niezmierzone zasługi i wskutek zupełnego a dobrowolnego poddania się woli Bożej stała się Matką wcielonego Słowa i matką naszą. Macierzyństwo Boskie okupiła, wedle przepowiedni, morzem boleści, które znosiła od samego Narodzenia Synaczka swego aż do Jego chwalebnego Zmartwychwstania; macierzyństwa zaś duchowego zlecenie i poświęcenie miała otrzymać dopiero od Pana Jezusa, zawieszonego na krzyżu.

Słuszną wydaje nam się rzeczą wyliczyć i opisać powody, dla których Najświętsza Marya Panna towarzyszyła krwawej ofierze Zbawiciela, a następnie, w jak godny sposób odpowiedziała wszystkim warunkom — zamierzonym przez Opatrzność, czem znowu wysłużyła sobie macierzyństwa tego koronę.

Wiele możnaby przytoczyć powodów, dla których Matka Boża idzie za Panem Jezusem na miejsce strasznej Jego kaźni, — ograniczymy się na podaniu tylko główniejszych.

Pierwszy powód, tejże samej był natury — co i przyczyna, wiodąca Pana Jezusa. Czytajmy homilie Ojców Ś-tych, na narodzenie lub poczęcie Wcielonego Słowa, wszędzie i zawsze jest mowa o naszem odkupieniu, wyzwoleniu od potępienia. Od owej chwili przymierze między ziemią i niebem przywrócone, — źródła łask Bożych uprzystępnione dla ludzi. Jako Aniołowie głosili chwałę Bogu na wysokościach, tak ludzie dobrej woli radowali się, iż oczy ich mogą oglądać Zbawiciela.

Pismo Ś-te i nauczyciele Kościoła, opierając się na objawionem słowie Bożem, powtarzając, że dopokąd Chrystus Pan nie cierpiał, dopo-

kąd Baranek Boży nie był ofiarą całopalną, — dotąd zadośćuczynienie za obrazę Boga nie było dokonane, ani też rodzaj ludzki z niewoli wyzwolonym nie był. [1]) Albowiem przez krew krzyża spokój się stał bądź na ziemi, bądź w niebiesiech [2]). Na kalwaryi dopiero cyrograf dekretu, który był przeciwko nam przybity na krzyżu [3]) drogą krwią baranka i niepokalenego Chrystusa wykupieni jesteśmy [4]), jednem słowem oną ofiarą, jakiej Chrystus Pan dokonał, otrzymaliśmy poświęcenie na wieki. Wszystko zapowiedział Izajasz Prorok na ośm wieków, opisując mękę Zbawiciela: *Jeśli położy za grzech duszę swoją, ujrzy nasienie długowieczne.* [5]) I sam o sobie mówił Pan Jezus: jeśli ziarno pszeniczne, wpadłszy w ziemię, nie obumrze, samo zostawa. Lecz jeśli obumrze, wielki owoc przynosi. [6]) Pozorne to przeciwieństwo, w ten sposób się rozumie, — że dopiero przez mękę i śmierć odkupił nas Syn Boży; za okup ten, spływa na nas łaska odrodzenia i uświęcenia. Odrodzenie ono, chociaż zaczęło się z przyjściem Pana Jezusa, to jednak Ś-ty Paweł w liście do Żydów objaśnia: Wchodząc na świat mówi: Nie chciałeś ofiary i obiaty, aleś mi ciało sposobił; tedym rzekł: Otóż idę, abym czynił o, Boże, wolę twoją, przez którą wolę jesteśmy poświęceni przez ofiarę ciała Jezusa Chrystusa raz. [7])

Taki jest boski plan w dziele odkupienia, taki porządek, podług którego się rozwijał. Odkupienie rodzaju ludzkiego rozpoczyna się ze zstąpieniem Syna Bożego na ziemię, — owszem, od chwili kiedy ofiarował się Ojcu Przedwiecznemu — lecz dokonanie tej ofiary spełniło się na krzyżu.

Wcielenie, narodzenie, nauczanie, poświęcenie się, to jakby jeden i tenże sam akt Odkupiciela i Zbawcy. Ofiara krzyża zamyka w sobie wszystko, co ją poprzedziło, a to, co się przedtem stało, odnosi się do jednego celu — zbawienia człowieka.

Potrzeba było, aby człowiek, patrząc na tak liczne i straszne próby, udręczenia i męki, które Bóg z poddaniem się znosił — mógł pojąć — jak wielką i straszną była obraza i zniewaga wyrządzona Majestatowi Boskiemu, — jak nieskończona zarazem miłość Boga względem człowieka. I oto dlaczego Pismo Ś-te przypisuje nieskończone znaczenie Odkupienia, już to tajemnicy wcielenia, już to ofierze Boga-Człowieka. Wcie-

---

[1]) Col 1,20.
[2]) Col. 2,14.
[3]) 1 Petri 1,18.
[4]) Hebr. 10,14.
[5]) Isai 53,10.
[6]) Ioan. 12,24.
[7]) Hebr. 10,5—15.

lenie, jakkolwiek było początkiem tylko sprawy, — to jednak miało na celu Kalwaryę, — boć Chrystus narodził się śmiertelnym, aby umrzeć. Ofiara krzyża sama gładziła winę, znosiła wyrok odrzucenia.

Duchowe macierzyństwo Matki Bożej nie mogło gdzieindziej się rozpocząć, tylko u stóp krzyża, — na którym Pan Jezus nas odkupił i krwią najświętszą obmył. Wprawdzie przez poczęcie Boga-Człowieka zyskuje święte miano naszej matki, gdyż dając nam Zbawiciela, obdarza życia duchowego zaczątkiem — ale to zjednoczeniem się z Panem Jezusem w pierwszej tajemnicy zobowiązuje Ją do wytrwania na obranej drodze, a ta kończy się pod krzyżem.

Objaśnienia powyższe opierają się na pewnych danych, — w Ewangeliach wskazanych.

Już powołaliśmy się na słowa Chrystusa Pana, — które nauczają, że mękę podejmuje, zgadzając się z wolą Ojca swego i sam się dobrowolnie jej poddaje.

Ś-ty Ignacy Lojola, w swoich ćwiczeniach duchownych, tak słusznie się wyraża: „Oglądaj i rozważaj, co czyni Matka Boża i ś-ty Józef: (na narodzenie Pańskie) puszczają się w drogę, narażają się na niebezpieczne trudy — a to wszystka dlatego, żeby Pan nasz Jezus Chrystus narodził się w ubóstwie, ażeby znosił głód, pragnienie, chłód i upał, zniewagi męki — żeby umarł na krzyżu — za ciebie, człowiecze!“ [1])

Wszystko to było następstwem poświęcenia i określonego przedsięwzięcia, dla jakiego Syn Boży zstąpił na ziemię, — to samo czekało Najświętszą Pannę wskutek Jej ofiarowania się całkowitego Bogu,—kiedy wyrzekła: „Niech mi się stanie według słowa twego“.

W dniu narodzenia Boskiego Synaczka, odnawia w sercu swojem postanowienie złożenia Go na ofiarę — Dzieciątko Boskie czynem obietnicę swoją stwierdza. Poddając się prawu Starego Zakonu, Syn Boży ofiaruje Ojcu pierwociny krwi swojej, a Matka Boża, dając Mu imię z nieba naznaczone, wie, iż w niem zapowiadają się wielkie boleści i wielkie łaski Męki Pańskiej.

W dniu Oczyszczenia i ofiarowania w kościele, Pan Jezus potwierdza jawnie wobec świata, — co dotąd było sekretem, a wiadomem tylko Ś-ej Rodzinie. Wiemy, mówi Bossuet, [2]) że pierwszym czynem Pana Jezusa, ukazującego się światu, było ofiarowanie się Bogu, w zastępstwie wszelkich ofiar i zupełne poddanie się woli Bożej. To, co uczynił w łonie matki i w głębi serca, — stając w Kościele, spełnia publicznie. [3])

---

[1]) Exercit. spirit. Cont. de Nativ.

[2]) Boss. Elevations sur les mysteres, 18 sem.

[3]) Luc. 11,28.

Ale jakże utwierdzi akt ofiarowania samego siebie? Oto przez ręce swej Matki. Najświętsza Marya Panna stawa z Panem Jezusem w kościele — a Symeon, starzec, natchniony od Ducha ś-go, przyjmuje Dziecię z rąk Matki, w imieniu całej ludzkości ukazuje, iż przyszedł Zbawiciel oczekiwany od wieków — i dodaje, że on położon jest na upadek i na powstanie wielu, że duszę matki miecz boleści przeniknie.

Wiadomo, że Józef towarzyszył Maryi, tymczasem do Niej obrócił mowę swoją Symeon, bo Marya tylko miała uczestniczyć w męce Pana Jezusa.

Józef mógł umrzeć, zanim spełni się wielka ofiara — Najświętsza Panna miała doczekać końca sprawy — a miecz przenikający serce syna, powinien zranić i serce matki. Poczęta, porodziła — Synaczka swego pielęgnowała i nieopuściła go, kiedy nadeszła godzina spełnienia kielicha goryczy dla Niej i dla Niego.

Patrzmy: oto chrześcijanin składa chleb i wino, mające służyć do Najświętszej Ofiary — przypuśćmy, iż wskazuje dzień, w którym kapłan zadosyć ma uczynić jego życzeniu, iż następnie podobnie jak matka Samuela ofiaruje takowe dary Najwyższemu. Wierzący ów, dla otrzymania najpierwszego pożytku ze ś-ej ofiary po kapłanie i kościele, którego jest ministrem, obowiązany jest być obecnym ofiarowaniu i duchowo złączonym. To samo trzymamy o Najświętszej Maryi Pannie. Niema wątpliwości, iż niezależnie od swej obecności pod krzyżem więcej uczyniła, aniżeli ów chrześcijanin, dostarczający tylko materyi sakramentalnej — bo ofiarowała Syna swojego — uczyniła więcej, niż kapłan sprawujący ofiarę najświętszą — gdyż poczęła i dała nam Najwyższego Kapłana, który sam siebie ofiarował. Nie mniej i to jest prawdą, że nieobocność Maryi pod krzyżem w chwili, gdy się spełniła Najwyższa Ofiara, psułaby jej łączność z innemi tajemnicami, — a nadewszystko zmniejszałaby doniosłość współdziałania w sprawie Odkupienia, a tem samem i prawa do duchowego macierzyństwa.

Z tą główną przyczyną, wymagającą przytomności Maryi podczas Męki Zbawiciela, łączy się inna niemniej ważna. Powiedzieliśmy wyżej, że dzieło odkupienia, podług boskiego planu—miało być odwetem i przeciwstawieniem temu wszystkiemu, co spowodowało upadek człowieka. Potrzebni są ciż sami działacze, tylko z odmiennym hasłem. Szatan Kusiciel nie zaśpi sprawy. Ostrzegał o tem Pan Jezus, mówiąc do Żydów: tać jest godzina wasza, i moc ciemności [1]). I owe słowa, któremi Ewangelista kończy opowiadanie o kuszeniu na puszczy: dyabeł odszedł, aż do czasu [2])—mamy także pamiętać.

---

[1]) Luc. 22,53.

[2]) Luc. 4,13.

Pan Jezus, to nowy Adam. Widzimy drzewo, krzyż z drzewa — potrzeba, żeby się znalazła i niewiasta, — gdyż nie dobrze być człowiekowi samemu. [1]) A jakżeby można to twierdzić, gdyby niewiasta przeznaczona dla zdeptania głowy węża piekielnego nie stała blizko drzewa, na którym zawisł owoc rodzący życie łaski?...

Nie sama tylko obecność Maryi wymaganą była. Ewa wielce się przyczyniła do zguby rodzaju ludzkiego — zachęcając do nieposłuszeństwa — pobudzając do zmysłowości i pychy pierwszego człowieka. Marya, dla naprawienia tego, powinna była okazać posłuszeństwo wziąć cząstkę swoją w cierpieniach, upokorzeniu Chrystusa, — owszem wzajemnie mieli cierpieć jedno za drugie, tak, jak pierwszy człowiek i pierwsza niewiasta wspólnie zadawalniali się swoją występną uciechą.

W opowiadaniu Ewangelistów, ilekroć jest mowa o cierpieniach Pana Jezusa, tylekroć znajdujemy wzmiankę o Bogarodzicy, — znak to, że Marya niodłączną być winna towarzyszką w Męce Pańskiej.

Na rękach Maryi — tuż przy jej sercu, składa pierwszą daninę krwi Jezus Dzieciątko — z Maryą znosi niewygody ubóstwa, z Maryą uchodzi do Egiptu. Przypomnijmy sobie ów smutek i trwogę Maryi, kiedy Pan Jezus pierwszy raz oddalił się od niej, aby być w tych rzeczach, które się odnosiły do Ojca Jego.

A kiedy już rozpoczął swój zawód publiczny, ileż zaparcia, poświęcenia się, ile niebezpieczeństw i trwogi udręczało serce Maryi? Oddana czytaniu Pisma ś-go, rozważając proroctwo Symeona, wiedziała pod jakim warunkiem jej Jezus Zbawicielem się stanie. Każdy rok, każdy dzień przybliżał termin, kiedy miał być wydany w ręce bluźnierców — *i zmieni się krasa jego* i piękność jego, iż nie było na co pojrzeć. [2])

Duch poddany woli Bożej umacniał Maryę wśród tych doświadczeń, — już wtedy zasługiwała na miano Matki Bolesnej, które to miano nadała Jej pobożność wiernych.

Możemy twierdzić, iż potrzeba było, aby nowa Ewa postępowała za nowym Adamem i nie opuściła Go na ostatniej stacyi. Abyśmy uznali człowieka na drzewie życia, — powinniśmy widzieć niewiastę u jego boku, — nieprzyjaźń opisana w Księdze Rodzaju pomiędzy niewiastą i wężem, inaczejby musiała wyglądać, gdyby w momencie rozgrywającej się ostatecznie walki, nie było przytomnej Maryi — dlatego wiemy, iż stała pod krzyżem.

Zechciejmy te prawdy zestawić z ich zapowiedziami. Pismo Ś-te opowiada, iż Salomon, zasiadłszy na tronie, kazał postawić stolicę matce królewskiej, która siadła po prawicy jego. [3])

---

[1]) Gen. 2,18.

[2]) Isai. 53.

[3]) III Reg. 2,19.

Czyż w tem opowiadaniu nie widzimy figury odnoszącej się do tego, co się dzieje na Kalwaryi?

Pan Jezus — to Król pojednania i uspokojenia na krzyżu, na tronie — skoro podniesiony został — wszyscy przyjdą a pokłonią się. Za koronę ma ciernie, berłem gwoździe — płaszcz na szyderstwo zarzucony zastąpił szkarłat krwi — a ktoby o tem nie wiedział, czyta: Jezus... Król...

Zbliżcie się, córy Syonu — przyjdźcie, ludy ziemskie, i przypatrzcie się Królowi swemu!... Oto w przybraniu tryumfu swego nad dyabłem i aniołami jego... Ecce rex vester. W ostatecznym dniu zstąpi na ziemię skropioną jego łzami, krwią jego poświęconą. Przyjdzie z wielką mocą i wspaniałością, z krzyżem w ręku — ponieważ przez krzyż królowanie ma. Wtedy Marya ukaże się po prawicy. W ten sposób przepowiednia i oczekiwana rzeczywistość uczą nas, że Matka Króla Zbawiciela nie mogła stronić od Kalwaryi i że przypada Jej, aby siedziała obok Pana Jezusa, tryumfującego na krzyżu.

*
* *

Podnieśmy się myślą i rozważajmy, za jaką zapłatą Bóg-Ojciec Pierworodnego Współistotnego, stał się na nowo Ojcem naszym — oto wydał na śmierć Syna Jednorodzonego: tak Bóg umiłował świat, że Syna swego jednorodzonego dał, aby wszelki, kto wierzy weń, nie zginął, ale miał żywot wieczny. [1])

I Apostoł, mówiąc o naszem odkupieniu, pisze do Rzymian: Własnemu Synowi nie przepuścił, ale go na wszystkie męki wydał, aby nam wszystko z nim darował. [2])

Zapyta kto, jakże to Ojciec wydał Chrystusa na mękę, która nas ożywia? Doktor Anielski odpowiada, że to się stało w trojaki sposób. W odwiecznych najpierw zamiarach przewidział i postanowił tego rodzaju okup dla zbawienia ludzkości: *Pan włożył nań* nieprawości wszystkich — głosi prorok Izajasz *Pan zetrze go w niemocy.* [3])

Syna swojego natchnął postanowieniem ofiarowania się na męki: *Ofiarowan jest, iż sam chciał,* [4]) w końcu zamiast stać się obroną — dał Syna na męki i dlatego to woła Jezus z krzyża: Boże mój—Boże mój, czemuś mię opuścił? [5])

---

[1]) Ioan. 3,15.
[2]) Rom. 8,32.
[3]) Isai. 52, 6,10.
[4]) L. c. 7.
[5]) Math. 27,46.

Oto jakim sposobem Ojciec Jezusa Chrystusa stał się Ojcem naszym — mieszkał na górze Świętej — nie dla obrony niewinnej ofiary, nie powściągnął napaści bezbożnych, ale zgodził się na ofiarę przywracającą pokój — odnawiającą przymierze przez mękę krzyżową, [1]) przyjął ich za syny — obmywszy szkarłatem krwi Boskiej. Podobna rola przez Opatrzność wyznaczoną została dla Maryi, Matki Chrystusa, z niepominięciem różnicy, jaka zachodzi między Stwórcą i Jego stworzeniem.

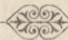
Marya stała pod krzyżem — Bóg powołał Ją do współudziału w przygotowaniu ofiary — nie miałżeby zażądać czegoś więcej, niż samej obecności w chwili, kiedy ofiara się spełnia? — Czyżby to nie było ujmą dla duchowego macierzyństwa wtedy właśnie, kiedy ojcostwo łaski się rozpoczyna i ogłasza?

Powinniśmy wiedzieć — woła Bossuet, że Marya podwójnie jest Matką: porodziła Jezusa Chrystusa i przyjęła pod swą macierzyńską opiekę nas grzeszników — porodziła Syna bez boleści, ale drugie swe macierzyństwo okupiła boleścią męki pod krzyżem na Kalwaryi.

Skąd ta różnica pomiędzy Ojcostwem i macierzyństwem pomimo, że o jednego Syna chodzi! Nie stąd tylko, że Ojciec jest niecierpiętliwy, matka zaś wrażliwa z natury swej ludzkiej na wszelkie uczucia, ale dlatego — musimy to pamiętać, że chodziło, aby z grzeszników uczynić syny Boże. Tu trzeba było krwi — a krew tę przelał *Chrystus syn człowieczy* i odczuwanie męczarni, jakie znosił Chrystus, dostało się jedynie w udziale Maryi — dlatego stała pod krzyżem.

(D. c. n.)

ks. Wł. F.



[1]) Kazanie na uroczystość Różańca Ś-go.

Dzieje klasztoru Jasnogórskiego,

KU CZCI I CHWALE BOGARODZICY OPOWIEDZIANE

przez

CZCICIELA MARYI.

Część druga:

KSIĄDZ PRZEOR AUGUSTYN KORDECKI

Na podwórcach jedni klęczeli, modląc się, inni płakali, inni ręce załamywali i wyrzekali, inni znowu szeptali coś z zajęciem. Wszystkie niemal twarze wyrażały strach, zwątpienie, rozpacz. Pan Piotr Czarniecki chodził szerokiemi kroki i pomrukiwał.

— Ano, teraz trutnie bić się bodaj nie zechcą!

Kordecki stanął wśród tego zgiełku myśli i głosów, odezwał się:

— Dziatki moje! Bracia! Rodacy! Kraków się poddał... Wolfa widzimy u Szwedów, król Jan Kazimierz osaczony na Spiżu, Rzeczpospolita cała niemal zawojowana. Ale kres nieszczęść naszych się zbliża, wypełnia się kara za grzechy nasze. Chwila jeszcze, a słońce zabłyśnie. Bóg nam dziś powierzył najzaszczytniejsze stanowisko, słabych i ułomnych postawił za przykład całemu narodowi. My jedni tylko stale, uczciwie opieramy się Szwedom i wytrwamy, wiary nie złamawszy, do końca. Korzmy się przed ołtarzem, błagajmy Boga, módlmy się, czuwajmy zgodni, a zwyciężym!

Wskazał na wizerunek Bogarodzicy, odmalowany na zewnętrznej ścianie kaplicy i dodał:

— To nasza chorągiew! To zwycięstwo nasze! Uciekajmy się pod Jej obronę, nie traćmy nadziei. Czemuż nie mogę jej wlać w serca wasze? Boże, daj mi siłę! Módlmy się! Módlmy!

Tłum z zapałem sypnął się ku kaplicy, i jak na puszczy Izraelici rzucili się czerpać z płynącego pod laską Mojżeszową zdroju, tak tu wszyscy garnęli się przed wizerunek Królowej Niebios. A kapela na wieży zagrała: „*Salve Regina*!“ Lud zawtórował pieśni rozgłośnie, aż echo daleko rozeszło się za mury. Żołnierze Wolfa stanęli naprzeciwko kaplicy cudownego wizerunku, pozdejmowali hełmy z czoł zasępionych, poklękli, skłonili chorągwie... Biedni pojmańcy (Szwed bowiem zdradą ich zagarnął) — ich serca były u ołtarza, a przystąpić do niego nie mogli.

Szwedzi, zauważywszy, co się dzieje, popędzili dalej modlące się regimenta Polaków.

Miller i Weyhard byli pewni, że uwięzienie posłów, wieść o zdobyciu Krakowa i o rzekomej zdradzie oddziałów Wolfa, skłonią ostatecznie Kordeckiego do poddania twierdzy; łacno tedy można sobie wyobrazić ich zdumienie, gdy Kuklinowski przyniósł im odpowiedź:

— Bez uwolnienia posłów, niema o traktatach mowy.

Miller porwał się z siedzenia, wrzeszcząc:

— Zaraz ich uwolnię, ale — na szubienicę! Mnichy śmią mi wytykać prawa wojny? Zali to twierdza, ta ich lisia jama? ten kurnik? Zali to są wodzowie, żołnierze, posły?

Naraz zwrócił się z pasyą do Weyharda:

— Tęgoś piwa mi nawarzył, mości hrabio! Gdyby nie ty, byłbym swobodnie i wygodnie wylegiwał się w Prusach, gdzie i kraj lepszy, i przynajmniej byłbym do tej pory coś zrobił. A tu stoim i na sromotę naszą, targujemy się z mnichami, którym nie możemy dać rady.

— Niesprawiedliwym jesteś jenerale, przecież cel niemal osiągnęliśmy — rzekł Weyhard.

— Gdzie? Jak? Racz wskazać, mości hrabio!

— Ano, Jasna-Góra za kilka, kilkanaście godzin się podda. Wiemy od Machlera, że w klasztorze amunicyi już skąpo i chęci osłabły...

— Dlaczegoż się nie poddają?

— Trzeba szturm przypuścić...

Rozśmiał się jenerał szyderczo.

— Szturm, nie zrobiwszy wyłomu? nie zasypawszy fosy?

— Baterye od północy pracują nad wyłomem.

— Ale naprożno. Mur gruby, kule zaś, jakby zwaryowane, nie wiedzieć dokąd lecą. Gdyby nie wstyd, jużbym do wszystkich dyabłów odstąpił, bo... bo... tu coś się dzieje niepojętego.

— Istotnie, wstydem byłoby odstępować dla wojsk Jego Królewskiej Mości. Wittemberg wziął Kraków, a my nie możemy podołać marnej Częstochowie, i ostatecznie Kordecki, mnich, lepiej sobie radzi,

niż pan Stefan Czarniecki, co zęby zjadł w obozach. A wiesz, jenerale, co straciłbyś odchodząc? Masz wyobrażenie o skarbach jasnogórskich?

— Rozpowiadałeś mi o nich, mości hrabio, do sytości. Lecz jak bałamutne były i są twoje wróżby, co do poddania się klasztoru, tak też zapewne i o skarbach onych przesadziłeś...

— Upewniam cię, jenerale, żem na włos nie przesadził! — zawołał Weyhard, umyślnie podniecając chciwość Szweda. — Ołtarze mają całe srebrne, okryte kleynotami od stropu do posadzki, skarbiec pełen złota, rubinów, dyamentów, pereł beczki czubate... Posągi nawet są lane z bronzów kosztownych, a gotówki lekko można rachować na kilkakroć sto tysięcy talarów... O drobniejszych łupach nie wspominam.

Szerokie, nalane oblicze Millera rozjaśniło się, w tej chwili podano mu pismo Kordeckiego, w którem przeor domagał się uwolnienia posłów. „Gdybyś Jaśnie Wielmożny Pan Jenerał — tak się kończyło pismo—na ich życie nastąpił (czego jednak nawet przypuszczać nie śmiemy), zdajemy się wszyscy na wolę Bożą, bez której włos nikomu nie spadnie z głowy. Niech umrą, jeśli śmiercią swoją mają okupić swobodę, której wszyscy oblężeni do ostatniego tchu bronić nie przestaną.“

Stary jenerał głową pokręcił.

— Przywołać jednego z tych mnichów! — rozkazał ordynansowi.

Za chwilę wprowadzono skrępowanego Ojca Błeszyńskiego. Blady był, wycieńczony, ale nie złamany. Cała noc urągań, bezsenna, widok heretyckich porywów na świętości wiary, osłabiły zakonnika na ciele do tego stopnia, że chwiał się na nogach i pot zimny oblewał mu czoło, ale dusza podniosła się tylko do Boga. Miller rzucił mu surowo:

— Idź do swego przeora, powiedz mu, coś widział w obozie moim. Niech ze mną nie igra, niech się poddaje, dopóki pozwalam się poddać. A wracaj, bo inaczej — słowo żołnierskie — towarzysz twój pozna się z konopianą stułą!

Poszedł Ojciec Błeszyński, ledwie nogami powłócząc.

Kordecki, gdy przed nim stanął, dłonie do góry wzniósł.

— Uwolnili was nareszcie? — zawołał. — A Ojciec Zacharyasz?

— Nie jestem ja wcale uwolniony — odparł Ojciec Błeszyński — ani on. Tamten jeszcze w więzach, a ja posłem od Millera tutaj. Noc i dzień przebyliśmy okropne. Napatrzyliśmy się, nasłuchaliśmy, nacierpieliśmy urągowiska, bicia, obelg, bluźnierstw, że wiekami nam się godziny wydały. Szwedzi jak mogli najwymyślniej znęcali się nad nami. Służyliśmy im za zabawę nocną, oka nie pozwolono nam przymknąć. Związani, przyparci do gruzów spalonego budynku, prócz mokrej ziemi, nie mieliśmy ledz na czem. I jeszcze śmiercią nam grożą. Miller zapowiedział, że jeśli nie wrócę, Ojciec Zacharyasz powieszony zostanie.

— Musicie znowu wracać?

— Muszę i to zaraz. Wola Boża! Nie obawiam się śmierci — gorsza męczarni godzina w tej jaskini zbójeckiej. A przyszedłem nie żeby wzmocnić waszą odwagę, lecz żeby wam jej ująć...

— Wy? Wy Ojcze? — zapytał Kordecki. — Zali mnie słuch nie myli?

Westchnął poseł.

— Tak, sumienie mi każe. Ogrom sił szwedzkich, wyćwiczeni wodzowie i wojsko, wszystkie drogi odsieczy przecięte — cóż na to poradzić? Miller postanowił zdobyć koniecznie i zdobędzie Jasną-Górę, wtedy... a! nie chce nawet pomyśleć, co się stanie... Święte to miejsce jeno poddaniem ocalić możemy, inaczej zmieni się w legowisko heretyków i plac ich świętokradzkich igrzysk.

— Ojcze... — odezwał się z upomnieniem Kordecki — sami byliście za obroną... mogłoż jednej nocy cierpienie tak zmienić zdanie wasze?

— Nie zmogło mnie cierpienie, ale oczywistość. Chyba Bóg zesłałby Aniołów Swoich, bo inaczej obronić się niepodobna. Samo usiłowanie obrony w pośmiewisko nas poda... Sam głód zmusi do poddania... Czyńcie, jak uważacie, co do mnie i życie oddaję na wolę waszą, i nie wzdrygam się cierpieć. Lecz widziałem oczyma własnemi potęgę Szwedów; znam garść naszych niesfornych obrońców, w którą co chwila ducha wlewać potrzeba, bo go co chwila tracą, i—Bogiem się świadczę — że nie dla siebie to mówię, ale dla was. Traktujcie i poddawajcie się, lub czyńcie...

— Jak Bóg natchnie — dokończył Kordecki. — Tak... traktować potrzeba, traktować będziemy, ale nie przymuszeni nożem na gardle, nie postrachem parci, nie schwytani w matnię, jak żacy, jeno z godnością, jak na nas przystało. Niech Miller was uwolni, niech nie postępuje z nami, jak z dziećmi, które groźbą przerazić można, a wówczas pomówimy... Zanim się to jednak uczyni, pójdź Ojcze Błeszyński do kaplicy, odzyskacie siły i ducha, patrząc w oblicze Najświętszej Panienki.

— Jam na śmierć gotów, nie lękam się jej wcale, lecz żal mi srodze Jasnej-Góry, żeby ją w kupę gruzów nie zmieniła ta tłuszcza siepaczów...

— A Bóg, Ojcze? A Bóg? — znów upomniał Kordecki.

— Zaliśmy warci Jego cudu?

— My nie, lecz warte święte Jego ołtarze!

Poprowadził Kordecki przygnębionego zakonnika do kaplicy. Ciekawi otoczyli więźnia szwedzkiego po drodze i natrętnie rozpytywać go

zaczęli o nowiny. Ojciec Błeszyński nie chciał straszyć oblężonych, odpowiadał krótko:

— Z listem przyszedłem i z listem powrócę...

Powrót Ojciec Błeszyński uważał za konieczność, bo tym sposobem ocalał życie Małachowskiemu. Było to bohaterstwo zaiste, gdyż zdało się, że Miller obydwóch zakonników straci. Gdyby Ojciec Błeszyński pozostał w klasztorze, on przynajmniej ocalałby — lecz mąż ten Boży dał słowo i pragnął męczeństwa.

W definitarzu wielka znów była wrzawa, tchórze znów zażądali poddania klasztoru, ale Kordecki wprost ich ofuknął:

— Szukaliście tu schronienia, siedźcież spokojnie, czyńcie, co można dla spólnej obrony, nie mieszając się do nieswoich rzeczy. Ja tu jestem naczelnikiem i wodzem, ja rządzę i rozkazuję, ja Bogu i ludziom za to, co czynię, odpowiem!

Umilkli tchórze, Ojciec Błeszyński wrócił z listem do obozu. Niebawem zjawił się w klasztorze Ojciec Małachowski, również wymizerowany, ze śladami cierpień na obliczu, lecz nie przygnębiony. Owszem wstrząsał się, oburzał, zżymał i pioruny Boże wzywał na Szwedów.

— Co przynosisz, Ojcze? — zapytał przeor.

— To samo, co Ojciec Błeszyński, z tym jeno dodatkiem, że jeżeli klasztor się nie podda, jutro zostaniemy straceni.

Przeor rzekł dobitnie:

— Bogu dzięki!

Zdumienie wywołały te słowa, a Kordecki podjął:

— Śmierci wam zadać nie może, bo oburzyłby wszystkich Polaków w obozie. Gdyby zaś ośmielił się to uczynić, wy, męczennicy, bylibyście zbawcami Rzeczypospolitej, krew wasza stałaby się zakładem odrodzenia i oswobodzenia. Lecz dusza moja czuje, że nie padniecie ofiarą. Żądanie Millera jest dla mnie świadectwem siły naszej. Dlategom powiedział: „Bogu dzięki!“ Gdyby zdobycie było łatwe, po cóżby groził, po co szukałby takich sposobów dla zgnębienia nas? Fortele jego jasno, by na dłoni, ukazują, iż siłą nas pokonać nie umie.

Przemilczawszy nieco, zapytał O. Małachowskiego:

— Powiedzże, Ojcze Zacharyaszu, jakże zbłąkane owieczki, kwarciani i inni Polacy, ochotnie wspomagają Szweda?

— Stoją jeno, płaczą i patrzą. Ale i to zgroza, i to okropne, że patrzeć mogą, a oręż im się nie zapali w rękach, a dusza z nich nie wyskoczy... Bo wiecież, co to jest obóz szwedzki? Z pewnością nie. Wy go widzicie jeno z daleka, jako różnobarwne, wesołe zbiorowisko ludzi; ale spojrzeć do środka — to piekło! Co jest w świecie rozpusty i brudu, tam się zlało, jak do rynsztoka! Siła wielka, męstwo szatańskie, bo opiłe bestye, bydło nierozumne, jak bydło idzie na śmierć.

Ojciec Zacharyasz wstrząsnął się ze zgrozą i przeżegnał, a Kordecki podchwycił:

— Takie wojsko nie może zdobyć kraju! Może go opanować zdradą, strachem, może chwilowo go zalać, ale zagarnąć — nigdy! Niema w niem siły, niema ducha, niema myśli! Ślepa odwaga żołdaków, umiejętność wodzów, to niedosyć. To nie są ludzie przeznaczenia, bo idą bez Boga. Bóg tylko karę nam wymierzył sromotną, aby nas nauczyć, kto niezgodnych zwyciężyć może. Lecz gdy wybije godzina — klęska pierzchnie, jak obłok w dzień letni.

Zwrócił się następnie do posła:

— Ojcze Zacharyaszu, zanieście Millerowi taką odpowiedź, jaką już od Ojca Błeszyńskiego słyszał: niech was uwolni, a gotowiśmy z nim traktować. Powiedzcie mu jeszcze, że wszyscy, i wy, i my, życie poświęcim bez wzdragania za sprawę świętą.

Dopiero gdy przeor sam pozostał, można było, patrząc na niego, powziąć wyobrażenie o potędze jego ducha, który walczył ze zwątpieniem, zewsząd mu wlewanem, słowy i czynami. Z bohatera, z rycerza, z wodza, stawał się u stóp krzyża, przed którym pokląkł, kornym kapłanem, drżącym w obliczu Boga, ułomnym człowiekiem. Ogrom odpowiedzialności, ciążącej na jego barkach, przerażał go. Truchlało w nim serce, drżał cały, płakał i modlił się. A gdyby godziło się, choć zdala, święte i Boskie z ludzkiem porównać cierpieniem, rzekłbyś, iż tak na duchu upadał Chrystus Pan, gdy się zbliżała męki Jego godzina, chociaż był gotów na męczeństwo.

Przeor Kordecki, mężny przy ludziach, sam z sobą trwożył się nieraz. Ten ogrom siły szwedzkiej; te zgodne wszystkich rady poddania się; to kraju nieszczęście: miotały jego duszą. Lecz gdy pomyślał, że Jasną-Górę zbezczeszczą heretycy; że po wiek wieków powiedzą ludzie, zaświadczą dzieje, iż Kordecki, iż Paulini Szwedom skarb ten wydali; gdy nieprzyjaciela wspomniał i wszystko, co on uczynił na ziemi Rzeczypospolitej przeciw jej synom: męstwo się odzywało, oburzała dusza, zrywał się od modlitwy, wołając:

— Lepiej umrzeć w obronie!

Staczał w nim walkę człowiek słaby, z popędem nieśmiertelnego ducha. Duch czuł, że wszędzie i wszystko potęgą swoją złamać powinien; człowiek rachował, ważył same niepodobieństwa. Lecz gdy wspomniał cuda, które Bóg Chrystus uczynił po wszystkim świecie, gdy pomyślał o opiece Pani Anielskiej, gdy zliczył zastępy anielskie i siły niewidoczne a potężne niebios, — mężniał, krzepił się. Tak naprzemiany walczyły w jego sercu łzy z odwagą, zwątpienie z męczeństwem i wytrwałością. Ale tylko Bóg widział walkę, — ludzie zaś widzieli

mężnego i nieugiętego wodza-kapłana, który na wszystkie namowy i postrachy odpowiadał stale:

— Nie podda się Jasna-Góra!

Z pomiędzy wszystkich oblężonych, dwóch jeno ludzi dorównywało mu duchem: miecznik Zamoyski i Piotr Czarniecki. Reszta, z różnem usposobieniem, przerzucała się od strachu do zuchwalstwa, pokrywała bojaźń milczeniem lub ujawniała ją bezwstydnie, wierzyła w klęskę i starała się ją zmniejszyć, oczekując z rezygnacyą lub z rozpaczą.

Lecz wielki, wielki jest wpływ choćby jednego człowieka, co słowem, niby dłonią olbrzyma, dźwiga serca i podnosi wysoko. Czują ludzie jego wyższość, podbici nią — milczą, wstyd im uznać się słabymi w obliczu siły. Pną się do niego, chociaż pozornie chcą mu dorównać. Taki był wpływ Kordeckiego. Dość było ukazania się jego, aby zmienić szmery niechętnych czasem w zawstydzone milczenie, czasem w zapał chwilowy.

Szlachta pragnęła się była bronić, ale wieść o poddaniu się Krakowa, o zagarnięciu piechoty Wolfa, o stałym pobycie Jana Kazimierza na Spiżu i o mniemanych rakuskich posiłkach, których więcej się obawiano, niż sobie po nich obiecywano, odejmowała wszelką nadzieję. Wszycy wołali, że „Rzeczpospolita zginęła!" i łamali ręce cichaczem, chociaż głośno, przy innych, krzepili się.

Cóż powiedzieć o ludzie, który szedł do walki zmuszony lub zapłacony, a nie za popędem serca, obowiązku; który wszelkim pogłoskom wierzył? Ten lud wciąż się przerzucał z ostateczności w ostateczność, oddawał się to nadziei niepewnej, to rozpaczy bezgranicznej; drętwiał znużony lub szedł walczyć, jak szałem zdjęty. Przed obrazem cudownego wizerunku mężniał, podnosił się do gotowości męczeństwa, ale trwało to krótko.

Takie oto zbiorowisko ludzi, taką garść miał pod sobą Kordecki i z nią, potężny duszą a wiarą, bronił się wielotysiącznej sile, staremu wodzowi, który życie spędził w bojach zwycięskich, — bronił się zdra dzie, przemocy i groźbom!

Niebawem, ku wielkiemu zdumieniu Szwedów, z klasztoru do obozu wracał Ojciec Zacharyasz, z miną niezmienioną, ani upokorzony, ani znękany. Ojciec Błeszyński modlił się cicho w oczekiwaniu chwili śmierci, gdyż obadwaj zakonnicy uważali ją za nieuchronną. Miller przywołać ich kazał, a przyjął ich z brwią chmurną i gniewem tem straszniejszym, że zaciętym i już nie wybuchającym na zewnątrz. Otaczali go inni wodzowie — książę heski, który na niego spoglądał z góry i unikał z nim rozmowy; Sadowski, milczący, nieukrywający wstrętu dla swego naczelnika; Weyhard pochlebny, uśmiechnięty, tajemniczy polityk i krętacz.

Wieczór zapadał. Obszerny namiot Millera, w którym wedle zwyczaju, dla starszyzny zastawiano stoły, przedstawiał widok malowniczy. Oświetlały go lampy kościelne i świece woskowe, wyraźnie w zakrystyach jakichś, jakby z katafalku, zerwane, w lichtarzach ciężkich i wielkich. Między obrusami można było rozpoznać bogato szyte opony ołtarzowe; na ścianach wisiały zbroje, miecze i oręże, bogate polskie kołczany, przepyszne kobierce herbowe; po bokach leżały bogate siodła z rzędami złocistemi, sadzonemi i różny sprzęt, widocznie owoc grabieży.

Starszyzna siedziała na kulbakach, na obozowych tłomokach, na ławach, zbitych z prędka. Słudzy krzątali się z wieczerzą. Kilku oficerów grało w karty i w kości, przerywając grę przekleństwem. Dzbany i flasze krążyły. Miller sapał na uboczu, spojrzał gdy wprowadzano zakonników i wskazując na nich, krzyknął:

— Jutro rano — szubienica! Nie chcieliście pokoju, zburzę tedy waszą norę, owo gniazdo zabobonów, a wam — śmierć!

Zakonnicy, już przygotowani do wyroku, ani się ulękli, ani słowa rzekli. Weyhard poglądał na nich z szyderczą radością, Sadowski z politowaniem, inni, nawet gracze, popodnosili głowy, pragnąc obaczyć, jakie wyrok śmierci uczyni na nich wrażenie.

— Spisać dekret — rzekł znów Miller. — Wystawić szubienicę, o świcie mają wisieć!

Czekał, czy skazani się nie odezwą. Lecz zakonnicy milczeli. On gniew wyparskiwać wargami zaczynał, a kilku Polaków, którzy stali z boku, spojrzeli na siebie znacząco, coś poszeptali i wyszli.

— Gotujcie się na śmierć! — powtórzył Miller.

— I dziś gotowiśmy za wiarę, kraj i króla naszego umierać — odparli zakonnicy.

Wódz szwedzki dłonią skinął.

— Niech ich odprowadzą. Wystawić szubienicę, a dekret posłać do klasztoru. Może przeor zechce się z murów widowisku przypatrzeć więc zbliżyć ją do murów.

Chociaż Weyhard stale poddawał Millerowi najgwałtowniejsze środki, a stracenie zakonników uważał za skuteczniejszy nad inne, sądząc że skłoni Jasną-Górę do upokorzenia się, do ocalenia dzieci swoich przez poddanie się i on jednak nie śmiał teraz ust otworzyć, tak widocznie dekret wypiętnował się oburzeniem na twarzach wszystkich obecnych. Książę heski odezwał sią powoli:

— Tym sposobem nie zjednamy tu przyjaciół dla Karola Gustawa.

— W dodatku będzie to złamaniem obietnic króla — dodał Sadowski — bo uniwersały zaręczają bezpieczeństwo osób.

— Ale nie buntowników... — podchwycił Miller.

— To są zakonnicy, kapłani — nadmienił książę heski. — Zresztą rób, jenerale, co się podoba. Masz pełną władzę.

Miller spojrzał na Weyharda, jakby szukając jego poparcia, ale hrabia ząkręcił się i wyszedł.

Wieczerza odbywała się w milczeniu. Książę heski odezwał się po chwili obojętnie:

— Jenerale, czy istotnie zamyślasz tych dwóch zakonników stracić?

— Dlaczego nie miałbym tego zrobić?

— Z pewnością, nikt ci nie zabroni. Ale jaka z tego korzyść?

— To się pokaże.

— Mamy z sobą tylu niechętnych Polaków... Są to niby nasi sprzymierzeńcy, każdy z nas jednak wie doskonale, że stoją przymusem. Otóż, co będzie, jeśli zakonników stracimy? Niewątpliwie się oburzą...

— Co nas to obchodzi. Nie lękamy się ich przecież.

— No tak, nie lękamy, ale... oszczędzać ich, liczyć się z nimi chociaż trocha — nie zawadzi.

— To gawiedź wylękła, zestrachana, wie przytem dobrze, iż nie zwykliśmy przebaczać nikomu.

— Co do tego, daliśmy im dowody! — rozśmiał się książę i zamilkł.

Nikt więcej nie przemówił za zakonnikami.

A w obozie polskim, który szwedzkim był otoczony (bo Miller swoim sprzymierzeńcom nie dowierzał), wielkie wrażenie sprawiła wieść o dekrecie śmierci, zapadłym na Paulinów jasnogórskich. Wieczorem potwierdzili ją pułkownicy, wracający z namiotu Millera, którzy byli świadkami jego postanowienia.

Pozór obozu Polaków, sprzymierzonych ze Szwedami (a trzeba przypomnieć, że ci Polacy stali teraz zupełnie bezczynnie, bo z góry się od jakiegokolwiek uczestnictwa w oblężeniu wymówili), był już dawniej posępny, do myślenia dający. Znać było, że sercem są gdzieindziej ci sojusznicy rzekomi najezdników Rzeczypospolitej. Cześć Bogarodzicy powoływała do obrony, do ujęcia się za nią, ale siła przeważna obowiązkom stawała na drodze. Musieli milczeć, z założonemi rękoma patrzeć na zuchwałe targanie się ludzi obcej wiary i z duszą zranioną boleć, a nie ruszać się krokiem. Spędzili dni długie na bezczynnych narzekaniach, na domysłach, na obwinianiu się wzajemnem, na kłótniach i wyrzutach, czynionych starszyznie, gdyż na nią winę biedy zwalano.

Jedni wciąż mieli na ustach uniewinniające ich przyczyny, w sprawie przejścia do Szweda, bo czuli się winnymi; inni, pragnąc zagłuszyć głos sumienia w sobie, hulali zawzięcie a smutnie; inni znów, w milczeniu posępnem, z głowami spuszczonemi, poglądali obojętnie na wszyst-

ko, co ich otaczało. Bardzo mała garść w Szwedach widziała zbawienie kraju. Lecz byli i tacy, którzy tylko liczbą przemożeni, uciekać nie mogąc, narzekali na siebie, na drugich, i urągali Szwedom otwarcie, ile się zmieściło. Takich, jak Kaliński, którzy skrycie i otwarcie sprzyjali Szwedom, w widokach przyszłych korzyści osobistych, było mniej.

Otóż w namiocie pana Mikołaja z Karmina Karmińskiego, zgromadzili się: Kuklinowski, Trupski i kilku innych Polaków. Wszyscy siedzieli posępni, grzejąc się u rozpalonego ogniska, rozmyślając o rodzinach, o kraju i jego losach przyszłych, o sobie, o położeniu, w jakiem sie znaleźli. Naraz do namiotu wpadli, oburzeni i zrozpaczeni: pan Adam Komorowski, Krzeczowski dowódca jazdy i pułkownik Jan Zbrożek. Wszyscy trzej przeszli do Szwedów z namowy możniejszych, a teraz żałowali przeniewierstwa. Zbrożek zawołał:

— Oto czegośmy się doczekali: Miller już naszych wieszać zaczyna. Tak się rozsmakował w górnikach olkuskich, że się teraz bierze do zakonników.

— Być nie może?! — ten i ów krzyknął.

— Jakże nie może, kiedy jest — mówił Zbrożek. — Uwięziwszy, wbrew wszelkim prawom, dwóch Ojców Paulinów jasnogórskich, Małachowskiego i Błeszyńskiego, którzy posłowali z klasztoru, skazał ich na szubienicę za to, że przeor twierdzy nie poddaje. Jutro rankiem dekret ma być wykonany.

Wszyscy spojrzeli na siebie z osłupieniem, Zbrożek znów zawołał:

— A my na to patrzeć będziemy... Ha! samiśmy temu winni - było lepiej ginąć z ręki Szweda, niż temu psu pomagać... Teraz, pozwoliwszy wtłoczyć sobie na kark jarzmo, orzmy grób własny.

Tu głos podniósł i dodał:

— Zaczęli od chłopków, posunęli się do zakonników, którzy przecież są szlachtą, jak i my, a jutro wprost do nas, rycerzy, się wezmą... Oto co się dzieje z obietnicami Karola Gustawa, a z tego przewidzieć łatwo, co się stanie z prawami naszemi, z krajem, religią, ze wszystkiem... „Biada zwyciężonym!“ — mówili starzy, ale w tym wypadku gdybyż tylko zwyciężonym? Tu nam wszystkim biada!

— Niepodobieństwo — przerwał Komorowski — żebyśmy to ścierpieć mieli... Niedość, że już nas splamili, pociągając ku sobie; chcą nas jeszcze zbezcześcić, czyniąc jawnymi świadkami zbrodni, a więc spólnikami jej... To nie może być!

— Trzeba zaprotestować! — zawołał Stępkowski. — Chodźmy do Millera, manifestujmy się!

— Alboż to sejmik, panie cześniku? — zapytał Zbrożek. — Gdzież tu naszą manifestacyę przyjmą?

— Za pozwoleniem — wtrącił Komorowski — przyjąć muszą. Powiemy Millerowi, że tego nie zniesiem, powołamy się na solenne obietnice Karola Gustawa, nadmienimy mu, że deptaniem praw i okrucieństwem nie podbiją Polski, ale to, co mają — stracą...

— Narazim się tylko na wstyd nowy — rzekł Zbrożek. — Poszliśmy w niewolę, znośmyż ją. Snadnie było to wszystko przewidzieć. Woleliśmy się poddać niż bić, znośmy srom...

Umilkli — na czołach wyraz zgryzoty i posępnej zadumy zawisł.

— Ale poddając się — począł Karmiński — nie wyrzekliśmy się praw, mamy je zapewnione. Jeśli Miller braci naszych, kapłanów, sromotną zgładzi śmiercią, pójdziem wszyscy precz i od króla, i od niego!

Gorzko roześmiał się Zbrożek.

— Nie czas się cofać — rzekł — pijmy piwo, któregośmy sami sobie nawarzyli.

— Zawsze czas! — zawołał Karmiński. — Jutro idźmy ławą do niego, powiedzmy mu śmiało prawdę: niech wojuje, ale niech się nie dopuszcza zdrady, zniewag, bo... Polska się ocknie!

— Już znieważył — odparł Zbrożek. — Wiecież jaką noc spędzili zakonnicy? Co z nimi czynili żołnierze? Święta suknia i oblicze kapłana Bożego poniewierały się w steku hultajstwa... A to słudzy Patronki królestwa naszego! to bracia nasi!

Karmiński porwał szablę z kołka, przypasał ją.

— Idźmy natychmiast do Millera! natychmiast! — mówił. — Jutro odejdzie oburzenie nasze, przeminie szał poczciwy, serca się wyziębią-rozmyślim się, ulękniem i gotowi będziemy patrzeć na zbrodnie. Kto Polak a katolik... za mną!

— Jam nie katolik, ozwał się Trupski — ale idę, jeśli nie o kapłanów, to o szlachtę i braci się upomnieć.

— Mości panowie i ja z wami! — rzekł Komorowski. — Kto się jeszcze serca i czucia w tem zaprzedaniu babilońskiem nie pozbył, z nami!

— Wszyscy! Wszyscy! — zakrzyknęła starszyzna i tłumnie wytoczyła się z namiotu.

(D. c. n.)



KSIĘGA CUDÓW,

doznanych za sprawą Najświętszej Panienki Częstochowskiej.

R. 1669. Filip Ptrągowski, szlachcic, złożył na Jasnej-Górze wotum srebrne, z takim napisem:

„Bogu Najdobrotliwszemu, Najwyższemu, Bogarodzicy Najświętszej Pannie Opiekunce, wotum za pomoc i zachowanie. Kiedy mnie Tatarzy chłopięciem z domu ojczystej ziemi zabrali, innym nieraz zaprzedawali, po morzu Adryatyckiem i innych wozili. Potem przez Hiszpanów wyzwolony, królowi katolickiemu darowany, Twoją to, o, Panno, sprawą żyję. W wojnie za króla Władysława IV, przy zdobywaniu Białej, towarzysze moi zostali żywcem ziemią zasypani, przy wybuchu miny, ja wszelako żywo i zdrowo, za Twoją, o, Panno, pomocą ocalałem. W wojnie Francuzów z Niemcami, pod wodzą Jana Kazimierza, króla niegdyś polskiego, z góry do rzeki Mozeli z wielu innymi został wrzucony, insi potonęli, a ja Twoją pomocą, o, Panno, żyję. Tyś mnie od powietrza pod Warmacyą ocaliła, a także od muszkietów rozbójniczych, Hasella i Notorna, uratowała. Twój na wieki: Filip Ptrągowski.“

R. 1658. Piotr Dzianett, szlachcic, zeznał, iż podczas grasunku Szwedów w Polsce, wiele razy groziła mu utrata życia w walce z tymi heretykami, lecz zawsze udawał się o pomoc do Panienki Częstochowskiej i zawsze z cudownym skutkiem.

R. 1667. Jakób Łodziński, szlachcic, przez zgraję Rakoczego zaskoczony w Soroczkowie, pod Pacanowem, już miał być rozsiekany, gdy myśl mu szczęśliwa przyszła Najświętszej Pannie się polecić. Zaledwie

to uczynił, zmiękli jakoś napastnicy, darowali go życiem. A towarzysze Łodzińskiego nie uszli śmierci.

R. 1675 zapisano w aktach klasztornych zeznanie następujące: „Wojciech Pisarczyk, z Kazimierza pod Poznaniem, służąc w rajtarach cesarskich, podczas wojny z Turczynem dostał się w niewolę tym poganom. Odprowadzono go do Belgradu, tam siedm lat ciężko w kajdanach pracował. Rozpaczą zdjęty, nie mogąc znieść dłużej srogiego tyraństwa pogan, Panienkę Częstochowską o orędownictwo błagał. Zaraz też pan jego zdobrzał, z kajdan rozkuć go kazał i dozorcą innych jeńców przeznaczył. Rychle Pisarczyk, chwilę dogodną upatrzywszy, umknął z Belgradu, do kraju się dostał i nasamprzód na Jasną-Górę z dziękczynieniem pośpieszył“

Tegoż roku zeznał do akt klasztornych Dymitr Sokołowicz, iż gdy wojował na Węgrzech, kula mu bok przestrzeliła i żebra potrzaskała. Spadając z konia, resztą przytomności Panience Częstochowskiej się polecił. Znaleziono go i w niewolę wzięto. Przez trzy dni leżał bez opatrunku, z rany krew wciąż uchodziła. Nie uszło jednak z niego życie, zdołał wydobrzeć, ujść z niewoli a następnie do Częstochowy z tak daleka pośpieszył.

R. 1683. Wojciech Jarzyna, w bitwie pod Brachiłowem, w tatarskie pęta się dostał. Sprzedany Turkom, musiał przez lat 12 jako ich żołnierz, bić się z Persami i Arabami. W onych wojnach śmierć mu często groziła, lecz ponieważ Panience Jasnogórskiej się oddawał, broniła go też Ona cudownie i sprawiła wreszcie, że uszedłszy z jasyru, mógł do kraju wrócić.

R. 1714. Franciszek Dobruchowski, schwytany z kilkoma towarzyszami przez rozbójników węgierskich, został przez nich do lasu zaprowadzony, gdzie zbóje wszystkich wytracić mieli.. Jakoż każdego z tych nieszczęśliwych naprzód obdzierali, a potem rozstrzeliwali. Patrząc na śmierć towarzyszów, Dobruchowski westchnął o ratunek do Niepokalanej Dziewicy, gdy zaś zbóje do niego się z kolei zabrali, wyrwał się im, począł uciekać. Gęsto za nim strzelano, ale żadna go kula nie dosięgła. Dobieżał jeziora, przepłynął je szczęśliwie, a zniknąwszy z oczu zbójów, niezwłocznie na Jasnej-Górze z podzięką się stawił.

R. 1717. Józef Bukowski, miecznik sanocki, pułkownik, zeznał do ksiąg klasztornych, iż walcząc pod Tarnowem z Sasami, postrzelony i porąbany, spadł z konia i przytomność stracił, ile, że go krew mocno uchodziła... Sasi z szat go obdarli, a mniemając, że z krwią życie mu uszło, zostawili na polu. W czas niejaki, pachołek Bukowskiego jął szukać swego pana, a znalazłszy, także wziął go za umarłego. Więc go pękiem tatarki naznaczył i odszedł. Tejże nocy koń biegający sa-

mopas, ujrzał tatarkę i zbliżył się, chcąc onej nieco skubnąć. Ocknął się wtedy Bukowski, zawołał:

— Ratuj mnie, sługę wiernego, o, Przenajświętsza z Jasnej-Góry, nie daj mi ginąć marnie!

Uczuwszy nagle moc w lewej ręce, chwycił się grzywy końskiej. Wystraszony koń targnął się i poniósł Bukowskiego. Wlókł się tak uczepiony przy grzywie pułkownik z pół mili, wreszcie pod wsią Klikowem sił mu zbrakło, puścił grzywę, upadł znów na ziemię. Traf zrządził, że wtedy właśnie wyszedł z namiotu swego niejaki Rosiński, towarzysz z regimentu, w którym pułkownikował Bukowski, a poznawszy swego dowódcę, zajął się nim, opatrzył go i do przytomności przywrócił. Przyszedł pan miecznik do zdrowia powoli, a wróciwszy, nie omieszkał na Jasnej-Górze się stawić.

R. 1717 również Najświętsza Panienka ocaliła życie Antoniemu Chełmickiemu. Tego w bitwie pod Kaliszem Szwedzi okrutnie porąbali, a gdy upadł, jeszcze go przestrzelili. Nazajutrz jakiś ciura szwedzki, obdzierający trupy, odnalazł nieboraka, widząc zaś, że tchnie, chciał mu rapirem gardło przebódz.

— Broń mnie Panno Częstochowska! — zakrzyknął Chełmicki, dobywając sił ostatka.

Uląkł się ciura, umknął, a Chełmickiego rychle potem swoi odnaleźli, opatrzyli starownie, iż do zdrowia wrócił.

R. 1718. Józef Jasiński, szlachcic, bawiąc w Wenecyi, został podstępnie przez Turków schwytany i do Konstantynopolu zawieziony. Lat czternaście w tamtejszej twierdzy przejęczał, dźwigając na rękach i nogach okowy. Obiecywano mu wolność, byleby się poturczył, ale wiary katolickiej wyrzec się za nic w świecie nie chciał. Dręczyli go poganie rozmaitemi sposoby, nożami żgali po bokach, wszelako stałości jego przemódz nie mogli. Ulitowała się Panienka Najświętsza nad wiernym służką, bowiem modlił się do Niej i wzywał Ją, ukazała mu się raz we śnie, a potem na jawie. Obaczywszy Niepokalaną na jawie, upadł na kolana, a tu mu okowy z rąk i nóg się zsunęły. Znikła Niepokalana, natomiast ukazał mu się mąż sędziwy, zapewne Ś-ty Paweł, fundator zgromadzenia Ojców Paulinów, zaprowadził go do okna więziennego, mówiąc:

— Wysoko stąd do ziemi, ale nie obawiaj się, skocz śmiało, nie doznasz szwanku.

Usłuchał rozkazu Jasiński, wyskoczył bez żadnej szkody i szczęśliwie do kraju się dostawszy, na Jasnej-Górze świadectwo o łasce doznanej złożył.

R. 1722. Prezentował się na Jasnej-Górze Jerzy Tawsiłowicz, komisarz dóbr księcia Radziwiłła, uwolniony za sprawą Panienki z niewoli szwedzkiej.

R. 1734. Stawili się w klasztorze na Jasnej-Górze małżonkowie Błażewscy, a żona, Teresa zeznała rzecz taką: „Gdy mąż jej stał z chorągwią swoją pod Gdańskiem, ona, uważając niebezpieczeństwo walczących, z nieutulonym żalem szczęśliwego powrotu jego wyglądała. Razu pewnego, wziąwszy księgę, sławiącą cuda Panienki Częstochowskiej, trafunkiem nalazła opis jegomości pana Tworzyańskiego, między szwedzkiemi szablami, za pomocą Cudotwórczej Pani, bez rany zachowania (opis ten daliśmy już dawniej.) Wzruszona opisem, uklękła przed wizerunkiem Panienki Częstochowskiej, który w domu miała i gorąco polecała Jej opiece macierzyńskiej małżonka, ślubując pielgrzymkę odbyć i wotum srebrne do kaplicy ofiarować, jeżeli małżonek zdrów z wojny wróci. Jakoż w tydzień wrócił Błażewski bez szwanku i opowiedział, iż łaski cudownej doznał za sprawą Niepokalanej, gdyż z całej chorągwi on jeden tylko ocalał, dzięki modłom do Bogarodzicy. Tak tedy małżonkowie w pomyśleniach swoich się zgodnie spotkali. Nie odkładając też ślubów, na Jasną-Górę z nabożeństwem i ofiarą pośpieszyli.“

(D. c. n.)



ŚWIĘCI PATRONOWIE I PATRONKI

opowieści religijne

zebrane przez

MICHAŁA SYNORADZKIEGO.

V.

Kazimierz z rodu Jagiełłów, królewicz polski.

W lat kilka później, — a trzeba dodać, że królowi Kazimierzowi jeszcze jeden syn przybył: Fryderyk — Jaszko Orfan znów o królewiczach nadmienia:

Surowość Długosza, obchodzenie się jego bezwzględne z królewiczami, budziły obawy w królowej, aby młodzi zahukani, onieśmieleni zbytecznie nie byli wychowani.

Wprawdzie nie był łagodnym ani pobłażającym ksiądz Długosz, wymagał karności wielkiej, lecz srogim też nie był i umysłowi królewiczów rozwijać się swobodnie nie przeszkadzał. Świadectwem najlepszem tego było, że gdy Władysław i Kazimierz, wedle przyrodzonych skłonności, nieśmiałymi pozostali i łagodnymi, Olbrachcik wcale się uchodzić nie dał i inną poszedł drogą.

W pierwszych czasach stałem od królewiczów dość zdala, towarzysząc im milczący w przejażdżkach, w grach na podwórcach i w ogrodzie, a czasu słoty, w izbach na to przeznaczonych. Niekiedy powtarzałem im zadane *pensa* (lekcye) i rozwiązywałem w nich trudności.

Prócz mnie było około nich służby, towarzystwa, pacholąt różnych, dosyć dla rozrywki i spółzawodnictwa przy nauce. Pomagał Długoszo-

wi starszy ochmistrz, Stanisław Szydłowiecki, mąż stateczny, dobrego serca, miękki, ale, na wzór Długosza, przybierający zawsze surową postać i oblicze, choć nad miarę powolny i dobroduszny był. Udawał nieubłaganego, ale milczał i przez szpary patrzył; choć się co inaczej działo niż polecił. Starał się o miłość u swoich wychowanków, ale go, jak księdza Długosza, nie obawiali się i nie szanowali. Nastawiał marsa, groził, fukał, ale nigdy nie oskarżył i nie ukarał.

Z pomiędzy młodzieży szlacheckiej, która dodana była królewiczom, wyróżniał się Konarski Jan, niezmiernie pobożny chłopaczek, który Kazimierzowi, szczególniej przypadł do serca. Byli prawie nierozdzieleni, modlili się, śpiewali razem, klęczeli przed obrazami, a gdy jeden odmawiał modlitwy, drugi mu odpowiadał. Miłość ich dla siebie była tak wielka, że jeden bez drugiego żyć prawie nie mógł, ale ponieważ ona pobożność była podnietą do dobrego, nie miał przeciwko niej nic ksiądz Długosz i Konarski był nieodstępnym przy Kazimierzu.

Władysław nie jednego, ale wielu miał takich przyjaciół, żadnego jednak nie wyróżniał z pomiędzy nich i nie przypuszczał do zbytniej poufałości, choć nadzwyczaj miał dobre serce. Niemniej wszakże czuł się królewiczem i do korony przeznaczonym. Olbracht się nie przywiązywał do nikogo, ale naprzemiany — to się do zbytku poufalił, to dumnie stronił od ludzi. Naturę miał więcej w sobie zamkniętą i nie lubił, aby go odgadywano.

Bracia się wszyscy kochali między sobą, ale Olbracht mniej ze starszymi żył i zwierzał się im; naturę miał inną wcale, więcej rycerską, dumniejszą, choć gdy się rozweselił i rozbawił do zbytku z chłopięty, sobie i im z sobą wiele pozwalał. Ale biada była, gdy nagle się opamiętał kim był: naówczas ani się kto mógł zbliżyć do niego.

Wszyscy synowie królewscy w pobożności i praktykach religijnych wychowani byli, ale różnie oni do nich przyszli. Olbracht najmniej religijnego okazywał ducha. Na swój wiek panięta wszystkie były dojrzałe, starsze umysłem i nauką, niż pospolite dzieci w tych latach bywają. Odzywała się w nich mimowoli czasem młodość jakąś swywolą, śmiechem, porywem, ale wogóle poważni byli, jak starzy ludzie, i zważać na siebie musieli.

Zaczynano już wtedy gwarzyć, że trzynastoletniego Kazimierza król chciał na Węgry wyprawić, chociaż chłopię się od tego z płaczem wymawiało. Sprawdziło się to. Jednak król wprzód Władysława w Pradze, na tronie czeskim, osadził, a potem już się nie taił, że Kazimierza, wcale do wypraw wojennych niesposobnego, z dwunastu tysiącami ludzi do Węgier wyśle.

Temu przedsięwzięciu, nawet pomiędzy najposłuszniejszymi króla sługami, wielu było przeciwnych. Przewidywano (co się ziściło), że si-

łę przeważną Kazimierz znajdzie przeciwko sobie, a na pomoc tych, co się z nią obiecywali, rachować nie może.

Kazimierz sam nietylko ku temu ochoty nie miał, ale się wypraszał u królowej, u króla, matkę po rękach całując i błagając, aby dla niego ludzie krwi nie przelewali, gdyż on żadnej, okrom niebieskiej, nie życzy sobie korony. Nie pomogło to, gdyż król od dziecka wymagał posłuszeństwa. Trzynastoletni wyrostek był tylko chorągwią, dowódcami zaś istotnymi wyprawy dobrani mężowie, znani z wojennego ducha, z męstwa i energii.

Król ich, bez różnicy do jakiego obozu należeli, nawet z pomiędzy przeciwników swoich wybrał, a żaden nie odmówił. Dzierżek z Rytwian, wojewoda i starosta sandomierski, ten sam, dla którego Lutek z Brzezia życie stracił, Jan z Tarnowa, kasztelan wojnicki, Stanisław Wątróbka ze Strzelec, Stanisław Szydłowiecki, marszałek dworu i ochmistrz, i wielu innych jechało z królewiczem na tę nieszczęsną wyprawę. Mistrz Jan z Latoszyna był dodany jako duchowny i kanclerz. Pomiędzy rycerstwem Spytek z Melsztyna, Jan z Oleśnicy, Jan z Czyżowa prowadzili oddziały. Ale wojsko owo, choć na oko było go dosyć, a pomiędzy niem pułki przedniejsze świetnie się stawiły, w znaczniejszej części było naprędce zebraną drużyną. Pomiędzy nią i brudnych a odartych Tatarów liczono głów tysiąc, którzy tylko do łupieży i do podnoszenia wrzasku czasu starcia dobrzy byli.

Prorokowano zawczasu, zwłaszcza starzy, co Warneńczyka pamiętali, że Kazimierzowi się nie powiedzie. Król zaś jakąś zuchwałą miał wiarę w szczęście swoje, którą wybór Władysława na tron czeski podnosił. Rachował też i na to może, iż brat, ustaliwszy się w Czechach, poprze Kazimierza, byle się choć w części kraju mógł utrzymać. Zamki zdawać Węgrzy obiecywali.

Dodając męstwa i ochoty synowi, sam król, już jesienią, gdy się zaciągi pozbierały, odprowadził go do Nowego Sącza. Lecz krótkie były nadzieje, a prędko przyszło rozczarowanie po tych obietnicach Węgrów, którzy wcale ich spełnić nie myśleli.

Zaledwie wkroczył królewicz do kraju, który miał mu otwierać bramy, gdy się zdrada okazała. Nieprzyjaciel się zjawił, przyjaciół nie było wcale. Niemcy najemni, którzy łupu a nie wojny krwawej się spodziewali, pierwsi opuścili szeregi; niektóre oddziały polskie, zgubę swą widząc, poszły za ich przykładem.

Zamknął się w początku królewicz w Nitrze, ale i tu oblężenia trzeba się było spodziewać, musiał więc uchodzić o mroku, zostawując ze czterema tysiącami Pawła Jasińskiego, mężnego i doświadczonego dowódcę.

Po drodze do Iławy, napadli Węgrzy obóz królewiczowski, sześćdziesiąt mu wozów odcięli i uprowadzili. Podzieliły się zdania w radzie wojennej: co było przedniejszego rycerstwa, chciało się trzymać i walczyć — Tarnowski, Wątróbka, Szydłowiecki, Melsztyński za srom sobie mieli uchodzić; ale reszta biła w to, że drogie życie królewicza ocalić należało. Zakrzyczano do odwrotu.

Smutnyż to był ów do Krakowa przyjazd z taką stratą i upokorzeniem, o które część rycerstwa obwiniano. Kazimierz sam mało w tem stanowił, nie pragnął wojny, lecz byłby w niej wytrwał, gdyby nie doradcy bojaźliwi. Źle czy dobrze się stało — Bóg wie jeden.

Kazimierz przybył cicho, obawiając się gniewu ojca, rachując na matkę, nie śmiąc się tłumaczyć, sądząc, że będzie strofowany surowo; ale król go przyjął czule, pocieszająco, bez narzekań spóźnionych na to, co się dokonało. Z Węgrami postanowił wejść w układy; trudności wojennej wyprawy, do której sił potrzeba było znacznych, teraz się dopiero czuć dawały. Wziąć ich na barki nie mógł król i dlatego zachował się obojętnie, odkładając wszystko na przyszłość.

Próba ta z młodym królewiczem była stanowczą dla niego. Przekonali się oboje rodzice, iż nie był wcale zrodzony do zdobywania państw. Sława rycerska, królowanie, nie pociągały go bynajmniej. Powracał znużony, smutny i znękany, a nie odzyskał zwykłego humoru i spokoju, aż gdy znowu z Konarskim wymodlił się w katedrze, w kaplicy i we własnej izdebce, w której miał klęcznik przybrany zamiast ołtarzyka.

Zdrowie też jego wymagało ochrony. Biały był i delikatnej cery, jak dzieweczka, aż nadto świeży i żywy rumieniec lica te krasił, oczy były pełne ognia i życia; ale sił miał niewiele, męczył się prędko, oddech naówczas miał przyśpieszony i kaszel męczył go po nocach.

Niespokojna matka przypisywała to niezwykle gorliwym praktykom religijnym, dla których wstawał po nocach, aby pewne modlitwy odmawiać, czuwał długo, ścisłe bardzo posty sobie zadawał i klęczeniem się nużył. Od tego jednak wstrzymać go nie było sposobu i ulubiony nawet Konarski, przez którego starano się ten zapał ukracać, nie mógł go ostudzić.

Zdaje się, że król, od czasu tej wyprawy, niewiele rachował na Kazimierza, jako prawdopodobnego swojego następcę. Oczy jego zwracały się na Olbrachta, na Aleksandra, wreszcie na Zygmunta, bo ostatni, Fryderyk, był nieodwołalnie do stanu duchownego przeznaczonym.

Skoro królewięta podrosły, usunięto od nich surowego Długosza, a miejsce jego zastąpił Włoch Kallimach, o którego uczoności wiele prawiono. Zdolny to był istotnie człek, ale złych obyczajów, więc też i królewiętom zły dawał przykład. Pobłażał im we wszystkiem, a sło-

wy gorszył. Aliści na Kazimierza nie miał wpływu, co też rychle zmiarkował. Narażać się Kazimierzowi nie chcąc, pobożność jego chwalił, opowiadał mu o świętościach, relikwiach i kościołach Rzymu. Zresztą zostawiał go samemu sobie. Razu pewnego szepnął ochmistrzom, iż Kazimierzowi długiego życia nie rokuje. Przerazili się tem proroctwem, gdyż królewicza miłowali wszyscy i nie było czlowieka, któryby go już naówczas za błogosławionego nie uważał, nie czcił, mimo lat młodych. Udali się przeto do fizyka Gaskiewicza, pytając o zdanie. Ten zaprzeczył chorobie.

— Wyrośnie z tego — rzekł. — Co ten Włoch plecie?! Królewicz zdrów, rumiany, tylko tyle, że się z Konarskim nabożeństwem zamęczają. Po nocach na zimnie klęczą, pieśni śpiewając, poszczą bez miary.

Powtórzono to królowej, lecz ona tej świętobliwości w dziecku nie chciała powstrzymywać — rada jej była i dumna nią.

Długosz każdodziennie o wychowanków się dopytywał, najbardziej zaś o Kazimierza i radował się słysząc, jak go chwalą za pobożność i inne cnoty. Gdy mu opowiadano, z jaką pokorą i rezygnacyą zniósł świeżą próbę, ową wyprawę do Węgier, zamruczał wzdychając:

— Nienasycona pycha a żądza panowania! Mają przecież dosyć ziemi, zdobyli Czechy bez rozlewu krwi, jeszcze im Węgier potrzeba...

Przepowiednie złowrogie Włocha sprawdziły się — niewiele upłynęło czasu, a rozeszły się smutne wieści, iż królewicz Kazimierz, owa perła czysta pomiędzy dziećmi pańskiemi najprzedniejszej wody, coraz był słabszy, kaszlący, wątły, bez oddechu. Rodzina królewska na Litwie wtedy przed morową zarazą, grasującą w koronie, się schroniła, a królewicza wtedy w kolebce powoli wieść musiano. Było tak źle, że lekarze serce królowej do straszliwego przygotowywali ciosu.

Miała królowa Elżbieta dzieci podostatkiem, lecz zawsze to jest najulubieńsze, które tracimy, a istotnie Kazimierz u rodziców i u wszystkich miłość taką miał, jak żaden.

Nie było już ratunku, tak choroba górę wzięła.

Osobliwszem zaś było, że nigdy tak pięknym nie był, jak naówczas. Włoch Contarini, który przez króla był nięgdyś przyjmowany w Trokach, nie mógł się dosyć nachwalić piękności Kazimierza; ale od tych lat królewicz rosnąc, można powiedzieć, jeszcze cudniejszym się stał na obliczu. Coś tak słodkiego, anielskiego miał w uśmiechu i wejrzeniu, iż ludzie, patrząc na niego, na twarze padać chcieli. Zdawało się, że nie na ziemi tej zrodzony był, ale na nią zstąpił i tylko skrzydeł mu brakło, aby Aniołem zostać.

I oblicze to wcale nie uwodziło. Był bowiem niewysłowionej dobroci, a kto chciał mieć orędownika, lepszego nie znalazł nad niego; zaś co sam miał — acz niewiele tego było — rozdawał wszystkim tak,

że mu sukni często brakło, a grosza zawsze. Na biednego spojrzeć nie mógł, żeby go zaraz nie wesprzeć.

Sam dla siebie nie potrzebował nic, i gdyby się był w najuboższym, najnędzniejszym urodził stanie, nicby mu to nie dolegało. Owszem, ubóstwo szanował, czcił nawet, pamiętając, iż Chrystus Zbawiciel świata wyniósł je, Sam w nędznej stajence betlehemskiej na świat przychodząc.

W dobrowolnem ubóstwie onem bił od niego taki majestat królewski, jakby w złocie i purpurze chodził, których nie cierpiał, pokornego serca będąc. Jeno w ostateczności, gdy mu nakazano, suknię szkarłatną przywdziewał i tę natychmiast potem, jak jarzmo ciężkie i nieznośne—zrzucał.

Dworacy często mu powtarzali, chcąc się przypochlebić, że po ojcu tron, korona mu się należy; on słuchając tego, głową wstrząsał, uśmiechał się pogodnie, odpowiadając:

— Zaniechajcie, jest komu po rodzicu miłościwym dziedziczyć. Moje królestwo nie z tego świata.

Gdy to mówił, oblicze mu jaśniało dziwnym blaskiem. Zda się, Bóg potwierdzał słowa jego i na świadectwo, że powiada słusznie, na oblicze jego niebiańskie zlewał promienie.

Król, dla dzieci zawdy surowy, wiele od nich wymagający, a wówczas na Władysława czeskiego zagniewany, bo mu niedosyć posłuszeństwa okazywał, Kazimierza — można powiedzieć — szanował — i nigdy go w tych latach nie strofował nawet.

Gasł Kazimierz, on kwiat do rajskiego ogrójca przeznaczony. Nie sprzeciwiano mu się już, gdy wbrew zaleceniom lekarzy, posty i modlitwami się męczył. Mała była nadzieja utrzymania żywota, a raczej żadna. Cud go mógł przy życiu utrzymać, lecz Bóg nie chciał, iżby się duch tak czysty dłużej na ziemi męczył.

Przewieziono królewicza do Grodna ostatnich dni lutego. Drogą znużony, osłabł bardzo, gorączki dostał, doktór koniecznie dłużej wypocząć mu kazał. Nikt jednak, oprócz samego chorego, zgonu tak rychłego nie przewidywał.

Marcowe pierwsze dni ostre były i zimne. Zamczysko w Grodnie, choć niby opatrzone i wymuskane na przyjazd króla, izby miało chłodne, dymne, a piece, w których po całych dniach ogromne kłody płonęły, źle tę zimnicę ogrzewały. Wiatr po komnatach hulał, na ścianach szron osiadał.

Nie pozwalano już królewiczowi nawet do kaplicy wychylić się z komory; więc ze swoim Konarskim ołtarz zaraz w niej wybudował, obraz Najświętszej Panny, który zawsze z sobą miewał, nad nim zawiesił i po całych dniach modlili się przed nim a śpiewali. A że wielki

post był właśnie, więc dni suchych w tygodniu połowa. Jedzenie, które dla królewicza przynoszono, biedni i dworzanie, psy wreszcie zjadały, a królewicz jeno chlebem suchym i wodą żył.

Gasł młodzieniec, aż czwartego marca poszedł do nieba, odchodził zaś z tego świata z radością. Nie dziw, bo szczęśliwość wiekuista przy tronie Bożym go czekała. Kto go widział zmarłym w trumnie, nigdy nie zapomni, bo tą piękność, jaką się za żywota odznaczał, po zgonie jeszcze stokroć cudniejszą się stała. Zdawał się uśpiony uśmiechać błogo.

Żalu po nim opisać trudno!

Nawet Olbracht, który do płaczu wcale skłonnym nie był, a z bratem tym, choć się kochali, mało obcował, bo ludzie byli zupełnie odmienni, — a jednak przez dni kilka jak osowiały chodził.

Tyle opowiada o Świętym Królewiczu Jaszko, Orfanem zwany, w powieści jednego z najznakomitszych pisarzy polskich.

(D. c. n.)



Drogą Swiętych Męczenników wśród pogan.

Dla umocnienia Twego, Czytelniku, podajemy te pełne prawdy, wielkie i święte przykłady stałości i bohaterstwa chrześcijańskiego. Czytaj, rozważaj i wznoś serce do Boga, źródła wszelkiego dobra i szczęścia.

W Azyi.

Kościół katolicki od dziewiętnastu wieków jest matką ludzkości, wydając ze swego łona Świętych i Męczenników. Tak dzisiaj, jak w czasach apostolskich i ich pierwszych następców, Bóg dał moc nieustraszonym kapłanom, aby wyznawali wiarę w Chrystusa z narażeniem na niebezpieczeństwo swej wolności i życia. Ci heroiczni mężowie zawsze będą świadectwem tak w dniach dzisiejszych, jak dawniej najczystszej i najjaśniejszej chwały chrześcijaństwa; są oni obrońcami najdzielniejszymi krzewicielami, posiadającymi największą powagę: co więcej, są nieomylnie przekonanymi, że ich gwałtowne zejście z tej ziemi zapewnia dobry koniec dla Boskiej sprawy, dla której krew przelewają.

Wśród wielkiego zastępu misyonarzy, których wydał wiek dziewiętnasty, dwu wyróżnia się cnotą i heroizmem męczeństwa. Są to dwaj pokorni kapłani, dwaj ubodzy zakonnicy: Jan Gabryel Perboyre i Piotr Chanel, którzy dostąpili nieśmiertelnej chwały za krew przelaną dla Jezusa Chrystusa. Ojciec Święty Leon XIII wpisał imiona tych dwóch ludzi, nam współczesnych, w księgę powszechnego Kościoła bło-

gosławionych, dnia 10 i 17 listopada 1890 roku; w Bazylice watykańskiej ogłosił całemu światu świętość dwóch nowych pośredników u Boga.

Jan Gabryel Perboyre urodził się 6 stycznia 1802 roku w Puech, małej wiosce, w parafii Mongesty, dyecezyi Cahors. Jego rodzice,



Błogosławiony Jan Gabryel Perboyre, urodzony 1802 r., umęczony za wiarę 1840 r. Błogosławiony 1889 r.

Piotr Perboyre i Marya Rigal, ubodzy w ziemskie dostatki, silnej jednak wiary i cnoty rodzinnej, dali synowi dobre chrześcijańskie wychowanie, przyświecając przedewszystkiem przykładem cnotliwego życia.

W młodości pasał trzodę przyszły misyonarz-męczennik, gdy jednak wiele okazywał zdolności do nauk i usposobienie do stanu du-

chownego, został wysłany razem ze swym bratem Ludwikiem do ks. Jakuba Perboyre, przełożonego małego seminaryum w Montauban, gdzie ukończył nauki gimnazyalne.

Niebawem usłyszał głos powołania Bożego, i Jan Gabryel pragnie poświęcić swe życie nawracaniu niewiernych, przeto wstępuje w grudniu 1818 r. do zgromadzenia missyonarzy. W dwa lata po nowicyacie był jakiś czas nauczycielem w Montdidier, w kolegium księży misyonarzy, poczem powołany do ukończenia swych nauk teologicznych w dniu 23 września 1825 r. w kaplicy macierzystego domu Sióstr miłosierdzia w Paryżu wyświęconym został na kapłana. Przez pięć lat zarządzał pensyonatem duchownym Saint-Flour, który niebawem został małem seminaryum dyecezyalnem.

W r. 1832 Ludwik, młodszy brat błogosławionego, który także wstąpił do zgromadzenia misyonarzy, zachorował w chwili, gdy się udawał do Chin, aby tam głosić Ewangelię.

Na tę wiadomość powstało w sercu Jana Gabryela gorące pragnienie, aby mógł zastąpić swego brata w tak trudnej misyi. Posłuszeństwo jednak zakonne wstrzymało go czas pewien w Paryżu, gdzie aż do r. 1835 zarządzał nowicyatem zgromadzenia misonarzy. Wreszcie gdy już wszelkie zdawały się niknąć nadzieje, otrzymał polecenie udania się do Chin na misye. — Wsiadł na okręt w Hawrze 16 marca 1835 r. Zaledwie wypoczął nieco z podróży w Jawie, Macao i Hu-Pe, błogosławiony Perboyre przeznacznonym został do missyi w Ho-Nan; głosił Ewangelię między niewiernymi od 1836 do 1839 r. Z końcem tego ostatniego roku rozpoczęło się prześladowanie.

W listopadzie wydany został siepaczom przez katechumena, który miał osłonić jego ucieczkę, wtrącony został do więzienia w Ku-czin (Hu-pe). Wycierpiawszy tam straszne męki, prowadzony był od sądu do sądu, aż wreszcie w U-czang-fu został ostatecznie osądzony i na śmierć skazany.

W mieście tem, opowiada ks. Huc, badany był najmniej dwadzieścia razy, a za każdym razem przebywać musiał straszliwe tortury. Gdy go pytano o wiarę, pospieszał zwykle z odpowiedzią:

— Jestem chrześcijaninem!

Gdy go zaś zmuszano do wymienienia swych współbraci, zachowywał jak najgłębsze milczenie — Wtedy biczowano go i policzkowano; za każdem pytaniem, pozostawionem bez odpowiedzi, wyrzucał mandaryn na ziemię pewną ilość kostek i w tejże chwili równa ilość uderzeń trzciną spadała na ciało nieszczęśliwego misyonarza.

Długie były cierpienia ks. Perboyre. Wreszcie wicekról U-czang-fu, wymęczywszy ks. Perboyre przez całe cztery miesiące, znudzony już

wymyślaniem coraz to nowych, a nieprzynoszących pożądanego skutku tortur, kazał mu na twarzy wypalić rozpalonem żelazem następujące słowa: *Sie kiao bo czun*, co znaczy „krzewiciel złej wiary“ i oszpeconego tem piętnem kazał zamknąć w okropnem więzieniu, pełnem nędzników i zbrodniarzy Pędził tam nasz męczennik swój żywot, a raczej codziennie umierał pod brzemieniem nędzy, wśród wielce plugawego otoczenia. Ludzie ci jednak, pomimo tak nizkiego poziomu moralności, uczuli głęboką cześć dla tego sługi Bożego; mieli go za nadzwyczajną jakąś istotę, cierpiącą prześladowanie za swą cnotę, a więc uznawali go godnym szacunku. Chrześcijanie dawali mu też dowody najżywszego przywiązania; kilkakrotnie przekupywali dozorców więzienia, aby módz odwiedzić go; w ten sposób przedostał się do niego pewien ksiądz chiński i przez niego to właśnie można było otrzymać tych kilka słów, skreślonych z wielkim trudem w w więzieniu przez tego świętego męczennika. Oto ich przekład:

„Czas i miejsce nie dozwalają mi wdawać się w szczegóły; inni będą w możności udzielenia wam więcej szczegółowych wiadomości. Przybywszy do Kuczin, poddany zostałem dwukrotnemu badaniu; cztery razy byłem badany w Siang-jang-fu. W czasie jednego z tych badań klęczałem przez całe pół dnia na łańcuchach żelaznych; w tej pozycyi podtrzymywany byłem grubemi sznurami za włosy i dwa wielkie palce u rąk, w ten jednakowoż sposób, iż cały ciężar mego ciała koncentrował się na mych nagich kolanach. W mieście U-czang-fu przeszło dwadzieścia razy stawiano mnie przed oblicze mandaryna i za każdym razem torturowano, gdyż nie chciałem odkryć tego, czego sędziowie tak bardzo pragnęli (gdybym zrobił to odkrycie, to prześladowanie rozciągnęłoby się nad wszystkiemi prowincyami cesarstwa).

W Siang-jang-fu cierpiałem li tylko za wiarę. W U-czang-fu otrzymałem 110 kijów za to, że nie chciałem rzucić krzyża na ziemię. Później dowiecie się reszty“...

Pomimo tak wielkiego wycieńczenia, ks. Perboyre nie przestawał być postrachem dla mandarynów.

Będąc przekonani, że mają do czynienia ze zręcznym czarnoksiężnikiem, co chwila spodziewali się, iż wypłata im jakiegoś figla i ucieknie niepostrzeżony z więzienia. Dlatego też, aby mądrość jego osłabić i zapobiedz strasznym jej skutkom, udali się po radę do doktorów medycyny, którzy kazali biednemu misyonarzowi wypijać znaczną ilość gorącej krwi psiej.

Dnia 11 września 1840 r. nadszedł nareszcie dekret cesarski, skazujący świętego missyonarza na zaduszenie. Rozkaz nie został publicznie ogłoszony, wykonano go pospiesznie i jakby ukradkiem. Idąc na

stracenie ks. Perboyre za całe ubranie miał na sobie spodnie i zarzuconą czerwoną suknię skazańców; ręce miał związane w tył i zatknięto mu długą żerdź, na której końcu powiewał rodzaj sztandaru z wypisanym wielkiemi głoskami wyrokiem; nakoniec, aby i pod innym względem podobnym był do Pana Jezusa, wstępującego na Kalwaryę i aby na końcu sprawdziło się, że sługa nie jest większym od swego Mistrza, pięciu złoczyńców skazanych na śmierć towarzyszyło mu.

Ogólnie przyjętym zwyczajem w Chinach jest, iż zbrodniarzy nie prowadzą, tylko pędzą, jak najszybciej z więzienia na miejsce kary śmierci. Każdy ze skazanych eskortowany jest przez dwóch drabów, którzy unoszą raczej niż prowadzą swą ofiarę.

Ten pospieszny pochód, któremu towarzyszy dzikie bicie w tamtamy, nadaje scenie egzekucyi groźny charakter, który drżeniem i strachem przejmuje mieszkańców Chin. Nakoniec po tak długiej i uciążliwej drodze przybywa ks. Perboyre na plac stracenia, zapełniony tłumem widzów. Liczne oddziały żołnierzy uzbrojonych w piki stanęły około słupa wbitego w ziemię. Do niego to przywiązano owych pięciu złoczyńców i jednego po drugim duszono. Nieustraszone dziecię ś-go Wincentego a Paulo pozostawiono na zakończenie tego posępnego dramatu. Gdy wybiła ostatnia jego godzina, ukląkł, by raz jeszcze zanieść swe modły przed tron Najwyższego Ojca. Poganie mówili głośno:

— Oto Europejczyk modli się.

Nakoniec pochwycił go oprawca, przywiązał mu nogi do słupa, lecz po nad ziemią, w postawie klęczącego człowieka. Męczarnie konania były stokroć dla niego straszniejsze, niż dla wszystkich innych złoczyńców. — Tamci zostali uduszeni natychmiast i odrazu, lecz z ks. Perboyre rzecz odbyła się powoli i z przestankami; zdawaćby się mogło, iż oprawca pragnie się nasycić widokiem ostatecznych konwulsyj swej ofiary.

Zaciągnąwszy fatalny węzeł, zwolnił sznurek tak, jakby przez to chciał dać czas męczennikowi do opamiętania się, następnie znów zaciągnął i znów zwolnił, za trzecim razem zaledwie postanowił zakończyć te męczarnie.

Ponieważ ciało Nęczennika zdawało się jeszcze drgać resztkami życia, jeden z niegodziwców przybliżył się, uderzył go silnie nogą w tułów i w ten sposób zakończył cierpienia missyonarza. Było to około południa, gdy ta piękna dusza uleciała do nieba.

W kilka dni po egzekucyi, chrześcijanie z U-czang-fu niemal na wagę srebra wykupili ciało Męczennika. Ubrawszy go w szaty kapłańskie, odprawili pokryjomu uroczyste nabożeństwo żałobne i pochowali po za murami miasta.

Ciało błogosławionego Perboyre złożono w grobie missyonarza Cleta, który dwadzieścia lat wpierw uprzedził go w zdobyciu palmy męczeństwa za wiarę. W r. 1858 to, co pozostało z ciała Błogosławionego, wydobyto z grobu, a wikaryusz apostolski z Czekiang, ks. Delaplace, miał polecone stwierdzić tożsamość ciała, o czem następujące szczegóły



Błogosławiony Piotr Ludwik Marya Chanel, urodzony w r. 1803, umęczony za wiarę w r. 1841. Błogosławiony w r. 1889.

czytamy w liście ks. biskupa Spelta wikaryusza apostolskiego w Hu-Pe, z d. 6 lipca 1958 roku.

„Z końcem maja miałem zaszczyt powitać w mym wikaryacie ks. biskupa Delaplace, wikaryusza apostolskiego z Cze-kiang, który przyjechał w poselstwie od przełożonego generalnego Lazarystów, ażeby ra-

zem ze mną przenieść święte resztki ciał dwóch sławnych wyznawców wiary, Franciszka Cleta i Gabryela Perboyre, obydwóch ze Zgromadzenia Ś-go Wincentego a Paulo. Wiadomość, że Pius IX bardzo interesuje się obydwoma Męczennikami, była dla mnie tem większą pobudką do energicznego zajęcia się całą sprawą. Nie zważając więc na niebezpieczeństwa, jakie mogły nas spotkać, udałem się z ks. biskupem Delaplace do stolicy U-czang, ażeby jak najśpieszniej wypełnić tak miłe polecenie. Przybywszy do U-Czang, natychmiast udaliśmy się na grób naszych dwóch Męczenników. Za murami miasta, w odległości może dwóch kilometrów, na pięknym pagórku, znaleźliśmy skromny pomnik, pod którym leżały już od kilkunastu lat śmiertelne szczątki Męczenników; — z pomocą kilku chrześcijan, pod opieką Bożą, mogliśmy w kilku godzinach bez żadnych przeszkód usunąć murowania obydwóch grobów, wyjąć ciała i złożyć do dwóch nowych skrzyneczek z drzewa. Kamienie ułożyliśmy napowrót jak były przedtem, ażeby te groby były nadal pamiątką heroizmu naszych Męczenników. Działo się to wszystko rankiem w dniu Zielonych Świątek, w obecności nawet samych cesarskich żołnierzy, którzy widzieli dobrze, jakeśmy kopali; wieczorem, pełni radości, powróciliśmy z drogiemi skarbami do naszej rezydencyi w Jam-kia-ho, dziękując Bogu, przez uroczyste odśpiewanie *Te Deum*, za opiekę i obronę".

Ks. biskup Delaplace przywiózł relikwie do macierzystego domu Lazarzystów w Paryżu, gdzie były wystawione ku czci wiernych.

Jeszcze za życia czcigodnego sługi Bożego, papież Grzegorz XVI na wieść o jego uwięzieniu, cierpieniach i stałości w wierze, polecił zbierać wszystkie szczegóły, któreby mogły kiedyś służyć do uwielbienia cnót misyonarza. W dwa lata po śmierci Błogosławionego, w r. 1843, sam Ojciec Święty podpisał dekret wprowadzenia procesu beatyfikacyjnego.

W Oceanii.

W ośm dni później, w niedzielę 17 listopada, odbyła się druga beatyfikacya. Chodziło o wyniesienie na ołtarze drugiego dzielnego Męczennika, chwałę misyj katolickich, a pierwszego, który na zatwierdzenie apostolstwa katolickiego w Oceanii krew męczeńską wylał, i dlatego samego przez najwyższą władzę na ziemi, bo Zastępcę Jezusa Chrystusa, miała mu być przyznaną największa chwała.

Nowy Błogosławiony, Piotr Marya Chanel, urodził się 12 lipca 1803 r. z rodziny wieśniaczej, we wsi Potiers, która wówczas należała do dyecezyi Lyońskiej. Na chrzcie świętym otrzymał imię Piotra; później, gdy się dowiedział, że jeszcze przed urodzeniem był poświęconym przez pobożną matkę Najświętszej Maryi Pannie, dodał do swego imienia Marya. W dniu, w którym otrzymał Sakrament Bierzmowania, oddał się w szczególniejszą opiekę ś-go Aloizego Gonzagi, chcąc też nosić imię tego młodego świętego, którego w całem swem życiu wiernie naśladował w anielskiej czystości i pokucie.

Pierwsze lata młodociane błogosławionego Piotra Chanela upłynęły podobnie jak Jana Perboyre w pracy około roli. Proboszcz parafii Cras, gdzie od pewnego czasu rodzina Błogosławionego zamieszkała, poznawszy jego niewinne serce i zdolności, posłał go do szkoły.

Ucząc się, powziął w umyśle taki zapał ku nawracaniu niewiernych, iż miłość heroiczna bliźniego coraz to więcej w nim wzrastała, aż uwieńczoną została koroną męczeństwa. Jeszcze dzieckiem będąc, gdy przypadkowo skaleczył się w rękę, krwią własną napisał: „Kochajmy Przenajświętszą Panienkę i uczmy innych, aby Ją kochali“.

Słowa te tkwiły w jego umyśle i ziściły się później, gdyż wstąpił do Towarzystwa Maryi czyli Marystów. Dobrze w naukach postępować musiał, skoro dla dalszego kształcenia się wysłanym został przez swego proboszcza do małego seminaryum w Belley, a następnie do wielkiego w Brou, gdzie filozofię i teologię ukończył.

W dwudziestym piątym roku życia, dnia 16 lipca 1827 r., odprawił pierwszą mszę ś tą. Pierwsze zajęcie kapłańskie miał jako wikaryusz bardzo wielkiej parafii w Ambérieu, następnie został proboszczem wioski Crozet w pobliżu Genewy, którą jednak już w r. 1831 opuścił, gdyż idąc za głosem Bożym, odzywającym się w jego duszy, wstąpił do Zgromadzenia OO. Marystów. Grzegorz XVI 29 kwietnia 1839 r. zatwierdził regułę Towarzystwa Maryi i poruczył mu missyę w zachodniej Oceanii. Kilka razy ofiarowywał się O. Chanel swym przełożonym z gotowością pójścia na missye, aż wreszcie gdy otrzymał pomyślną dla siebie odpowiedź, pełen radości pisał do jednego ze swych przyjaciół: „Jakże radosną nowinę mam ci udzielić! Oznajmiłem me dawniejsze pragnienia, a serce moje nie przestaje silniej bić z radości, iż imię moje zapisane zostało na liście pierwszych misyonarzy, którzy mają być wysłani.“

Po nader ciężkiej morskiej przeprawie i okropnych burzach, przybił sługa Boży dnia 27 czerwca 1837 r. do wysp Tahiti i Gambier, gdzie pomimo gróźb okrutnego króla Wawao, założył z towarzyszami swymi misyę w Wallis. Następnie zwraca się ku wyspie Futunie, do której

przybył 8 listopada tegoż roku. Nauczył się tam doskonale języka krajowców i oddał się całkiem ich nawracaniu na wiarę Chrystusową, odznaczając się najczulszem miłosierdziem dla ubogich i chorych. Gdy jednak wkrótce wybuchła zażarta wojna pomiędzy rozlicznemi pokoleniami wyspy, zniewolony był na czas jakiś powrócić do pierwszej missyi na wyspie Wallis. W kwietniu 1838 r. udał się znowu do Futuny i ochrzcił tam wielką liczbę pogan. Pracował niezmordowanie nad nawróceniem dzikich wyspiarzy przez trzy lata, jako pierwszy apostoł Oceanii, aż wreszcie strasznego doczekał się prześladowania.

Król Fu-tang Niuriki, rozgniewany rozwojem katolicyzmu w swem państwie, a więcej jeszcze nawróceniem syna swego Meitala, podburzany nadto przez Muzumusa, swego krewnego, a zarazem pierwszego ministra, zwołał dnia 27 kwietnia 1841 r. radę, na której postanowiono wydać wojnę katechumenom. Nazajutrz z brzaskiem dnia zbiera Musumusa kilku najzaciętszych nieprzyjaciół chrystyanizmu, napada na śpiących katechumenów, wielu z nich rani i śpieszy wzwrzeć swą zemstę na tym, którego poganie nazywają twórcą nowej religii.

Posłuchajmy opowiadania współczesnego Błogosławionemu zakonnika, który wiadomości swe zaczerpnął od naocznych świadków i tych, którzy sami dopuścili się zbrodni morderstwa nad błogosławionym Piotrem:

O. Chanel był sam; od kilku dni nie był w stanie wychodzić z domu; cierpiał wielki ból w pokaleczonych nogach. Swych katechetów, brata Maryę Niaier i Tomasza Boog, wysłał do ochrzczenia kilkorga dziatek, pozostających w niebezpieczeństwie życia. Ujrzawszy Musumusa i wiedząc o spisku na swe życie uknutym, rzekł do niego:

— Skąd przybywasz?

— Z Asoa — odpowiedział Musumusa.

— W jakim celu przybywasz do mnie?

— Chciałem prosić o jakie lekarstwo na kontuzyę, którą otrzymałem.

— Poczekaj — rzecze missyonarz — pójdę po lekarstwo i obandażuję twą ranę.

Podczas tej rozmowy Fititika i Ukuloa, dwóch dzikich, którzy się przyłączyli do Musumusa, weszli do chaty missyonarza. O. Chanel spotkał ich, gdy wychodzili obładowani bielizną.

— Dlaczego tu przychodzicie? Kto was upoważnił do rządzenia się w mym domu tak, jak u siebie? — zapytał ich missyonarz.

Nic na to nie odpowiedzieli, tylko rzucili bieliznę zdala od siebie. Wówczas reszta zgrai nadbiegła i zajście przybrało groźniejszy chara-



Kościół katolicki na wyspie Futunie, miejscu męczeństwa błogosławionego Chanela.

kter. Musumusa wydaje dziki okrzyk i przerywa misyonarzowi, przedstawiającemu napastnikom wielkość zbrodni, jaką zamierzają popełnić.

— Dlaczego ociągacie się z zabiciem tego człowieka? — zapytał Musumusa.

W tejże chwili zbiega się liczna zgraja, a Umutanli, jeden z dzikich, zamierzył się maczugą. Ojciec zasłonił się ręką, cios padł i ramię zostało zdruzgotane. Fititika, który stał za O. Piotrem, pchnął go gwałtownie, krzycząc:

— *Tai motake mote*! (Bij coprędzej, niech umiera).

Umutanli zadaje mu cios ponowny i w okropny sposób rani w skroń lewą. Fititika, nawróciwszy się później, nieraz opowiadał, iż O. Chanel kilkakrotnie wykrzyknął:

— *Malie fuai*! (Bardzo dobrze).

Razy zaczynają być liczniejsze. Misyonarz pada pod niemi na ziemię, lecz jeszcze żyje, może na to, aby mógł się modlić za swoich oprawców. I rzeczywiście, podczas gdy zbrodniarze idą po łupy do nędznej chatki misyonarza, zabierają skarby zakonnika: trochę bielizny, parę stołków, obrazy, kielich i cyboryum, O. Chanel, ocierając lewą ręką krew broczącą z twarzy, ofiaruje Bogu swe życie w szczególności za tych, z których ręki umiera.

Jeden z katechumenów, o którego nawróceniu mało jeszcze kto wiedział, zbliżył się do Męczennika i zapytał:

— Jak się Ojciec czuje?

Ledwie dosłyszalinym głosem zdołał wymówić:

— Gdzie jest Maligi?

(Był to starzec najwięcej doń przywiązany).

— W Alofi.

— Powiesz mu, jakoteż i innym moim przyjaciołom, że śmierć zarówno dla nich, jak i dla mnie jest największem dobrem.

Tymczasem Musumusa, jedyny, który nie zapomniał o głównym celu wyprawy, krzyknął na rabusiów:

— Czy po to jedynie przyszliście, aby zabierać bogactwa?

A wskazując na missyonarza we krwi leżącego, dodaje:

— Dlaczego go nie dobijecie?

Gdy ociągano się z wypełnieniem rozkazu, sam pochwycił za toporek i silnem uderzeniem w głowę rozbił czaszkę. Męczennik — jak to przy procesie beatyfikacyjnym zeznawali jego oprawcy — podczas długiego i bardzo bolesnego cierpienia, nie wydał nawet jednego jęku, aż padł twarzą do ziemi i oddał Bogu ducha. W tejże chwili, pomimo, iż w powietrzu panowała zupełna cisza, a niebo było bez chmurki, dał się słyszeć silny grzmot, a jego echo rozległo się po całej wyspie. Podług

słów ś-ej Kongregacyi Obrzędów, był to głos Boży, stwierdzający zbrodnię, dokonaną na wyspie Futuna.

Na stwierdzenie słów wyżej przez nas przytoczonych, że „krew Męczenników jest nasieniem chrześcijan”, niech posłużą następujące bliższe szczegóły, tyczące się missyi w Futunie, podane przez dzisiejszego wikaryusza apostolskiego środkowej Oceanii, ks. biskupa Lamaze:

O. Chanel w czasie swegc apostolstwa, twającego półczwarta roku, udzielił chrztu świętego zaledwie 45 osobom i to przeważnie umierającym dzieciom, a po jego śmierci wyspa pozbawioną została księdza aż do roku 1842. Dobre jednak ziarno, upadłszy na ziemię krwią męczeńską zroszoną, powoli kiełkować zaczęło, dostarczając Kościołowi dobrego zbioru: dotychczas 3467 chrztów, 744 małżeństw chrześcijańskich i znaczny przyrost ludności. Dawniej dzieciobójstwo, ludożerstwo, ciągłe wojny, zgładziły najmniej dwie trzecie mieszańców; gdy ten Ojciec przybył do nich, było zaledwie tysiąc osób, dziś wedle spisów misyjnych jest 1635. Zupełny pokój panuje między dwoma dawniej niezgodnemi plemionami, każde z nich tworzy piękną parafię z kościołem, probostwem i klasztorem. Nikt tu nie opuszcza nabożeństwa, wszyscy przystępują do Sakramentów świętych. Dnia 8 października 1889 r. na zakończenie krótkich rekolekcyi w Singawi, udzieliliśmy Komunii świętej 490 osobom, w tydzień później w Alo przystąpiło do Stołu Pańskiego 544 osób. — W obydwu parafiach wszystkie młode dziewczęta wychowane są już przez zakonnice. Czterech uczniów z tejże wyspy pobiera nauki w Lano, jeden z nich otrzymał już godność kapłańską; ojciec tegoż był jedym z pierwszych pozyskanych dla wiary świętej przez Ojca w Singawie; drugi zaś otrzymał tonzurę, a jego ojciec, Tafano, jeszcze przed umęczeniem O. Chanel’a, był bity i o mało nie został skazany na śmierć za wiarę.

Pięćdziesiąt lat temu nie znalazłbyś w Futunie ani jedne piędzi ziemi, któraby nie była skalaną przez złego ducha; dziś wszystko zostało oczyszczone i uświęcone przez sługę Bożego... W szczególności w Poi oddycha się niebiańską wonią, wydobywającą się z grobowców tych wszystkich, którzy mieli szczęście przelać krew swą dla Jezusa Chrystusa. Od dawna już parafia przeniesioną została o dwie mile po za góry, wieś Poi opustoszała zupełnie, a jednak pomimo tego przychodzą modlić się tutaj nasi neofici, gdy pragną otrzymać szczególniejszą łaskę niebios.

Jedynem schronieniem Męczennika była chatka, służąca zarazem za kaplicę. Dziś stoi tam pomnik. Jest to budynek, mający za podstawę ośmiokąt, kończy się kopułą, a wewnątrz zdobią go kolorowe okna. Ze wszystkich ośmiu stron znajdują się szerokie drzwi, ażeby

w dni uroczyste stojący zewnątrz kościołka mogli widzieć całe nabożeństwo i gorliwy brać w niem udział.

Co więcej ku chwale błogosławionego Chanela można powiedzieć, że w całym wikaryacie środkowej Oceanii wśród rozlicznych wysepek, w dwóch tylko, w Wallis i w Futunie, niema innej, jak katolickiej ludności, podczas gdy na innych wyspach są jeszcze poganie. Słusznie powiedzić możemy, że modlitwa błogosławionego Chanela przy śmierci zanoszona za niewiernych tej wyspy, wysłuchaną została od Boga i jej to zawdzięczają tamtejsi mieszkańcy łaskę odrodzenia wodą Chrztu



Pomnik postawiony w r. 1887 błogosławionemu Piotrowi Chanel'owi na wyspie Futunie, w miejscu, na którem był umęczony w r. 1841.

świętego, której mniej od innych godnymi się stali przez popełnione morderstwo.

Jeżeli Bóg okazał się bardzo miłosiernym dla zasług błogosławionego Chanela dla tych wyspiarzy, to jednak zatwardziałość niektórych ukarał. Przedewszystkiem smutnym był koniec tych, którzy najwięcej przeszkadzali w głoszeniu Ewangelii. O. Comte, w liście do przełożonego generalnego, O. Colin, z dnia 5 maja 1842 r., donosząc o przeniesieniu zwłok Błogosławionego na okręt płynący do Francyi, tak o nich pisze: „Gdy statek przybył przed Singawi, wioskę zamieszkałą przez

ludność, którą O. Chanel ukochał i przez brata Nizier pozdrowić polecił, dowiedziano się o śmierci króla Niuriki i tego potężnego przywódcy, który bezustannie okazywał się przeciwnym głoszeniu słowa Bożego.“

Tak więc ten, który był główną przyczyną męczeństwa Błogosławionego missyonarza, swym występkiem tamę położył działaniu łaski, pozostał poganinem nawet wobec znaków niebieskich, towarzyszących śmierci Męczennika i trwając w zatwardziałości serca, w kilka miesięcy po dokonaniu zbrodni żywot swój doczesny zakończył, aby zdać sprawę surowemu Sędziemu.

(D. c. n.)



Historya illustrowana Kościoła Świętego
RZYMSKO-KATOLICKIEGO
w obrazach i życiorysach.

Obraz XIII.

„Felicyta czyli Męczennicy Kartagińscy“

Jest to przez A. E. Odyńca, utalentowanego poetę, druha Adama Mickiewicza skreślony obraz wiary, pobożności i stałości chrześcijańskiej. Podajemy co najpiękniejsze wyjątki z tego natchnionego utworu ku pożytkowi duchowemu naszych czytelników.

SCENA I.

(Komnata w pałacu prokonsula).

Olympiusz prokonsul i Asper, jego przyjaciel, wchodzą, potem kapłan pogański.

Olympiusz.

(ściskając rękę Aspera).

O, witaj, witaj! Myśl o twym powrocie
Była mi jedną osłodą w tęsknocie,
Gdyś był daleki; lecz powrót w tę porę
Za znak szczególny dobrej wróżby biorę,
Że pierwsza prawda w złych wieści chaosie,
Ma dojść mych uszu w przyjaciela głosie.

Asper.

Toż chyba jedno niech jej gorycz słodzi.
Sewer nie żyje.

Olympiusz.

To już wiem: — lecz młodzi?

Asper.

Razem zasiedli tron, i zobopólnie
Przysięgli oba rząd sprawować wspólnie.
Geta, jak zawsze, pomni twe zasługi
I wspólną wojnę nad Tygrem; lecz drugi —
Wróg wszelkiej cnoty, a zawistny chwale,
Boi się dobrych.

Olympiusz.

O! znam Karakallę...
Widziałem chwilę, gdy zdradny zabójca
Żelazo z tyłu wzniósł na swego ojca,
I wiem, że świadków ojcobójczej chęci
Oddawna w mściwej policzył pamięci...

Asper.

Wiesz? więc me wieści nie tyle cię strwożą...
Tak! gwiazdy Rzymu nie dobrze ci wróżą.
Lecz niebo Romy zmienia się bez końca,
Co miał być piorun, być może wschód słońca.

Olympiusz.

Mów wszystko!

Asper.

Wróg twój, zdawna ci wiadomy,
Wulpiskus na cię zapalił te gromy.
Już w myśl Sewera, zwątloną w chorobie,
Z miłości ludów Afryki ku tobie,
Ze sławy twoich zwycięstw i imienia,
Siał wymyślone ziarno podejrzenia,
Mieniąc cię wodzem i człowiekiem, który
Może cezarskiej zapragnąć purpury.

Geta był twoim obrońcą; — lecz sądzę,
Że Karakalla, którego złe żądze
Miały służalca w Wulpisku, dał ucha
Potwarzom jego, i w skrytości ducha
Knuje twą zgubę: choć przez wzgląd ku bratu,
Powolność tylko w służbie majestatu
Zarzucił jawnie w senacie. I przeto
Edyktem jego, wydanym wraz z Getą,
Masz być upomnion, byś odtąd surowiej
Libią dzierżył w poddaństwie Rzymowi,
A przedewszystkiem, by nad chrześcijany
Wyrok Sewera był ściśle spełniany.

Olympiusz.

Ach, czyż już nie dość krwi i łez płynęło?
Jeśli to ludzkie i zwodnicze dzieło,
Czas, by już zgasło; a jeśli nie gaśnie,
Prześladowaniom przypisać to właśnie.
Jeśli zaś — słuchaj! wyznam ci, Asperze,
To, co wiem dotąd o tej nowej wierze,
Com słyszał z słowa, i com widział z czynu,
Tak się przeciwi dzikim baśniom gminu —
Co jak zwierz w cyrku, na chrześcijan w gniewie
Miota się oślep, a za co, sam nie wie: —
I tak jest zgodne z tem, cośmy słyszeli
Z najmędrszych greckich ust nauczycieli,
Albo w przybytkach Tajemnic Izydy:
Że zamiast tylko wzgardy i ochydy,
Co nam czuć każe ów wyrok Sewera,
Taki tłok myśli w duszę się napiera,
Że nieraz w myślach, sam z trwogą się prawie,
Na sąd przed sobą prokonsulem stawię.

Asper.

I toż snać w tobie dojrzał wzrok Wulpiska.
Lecz wieść, co groźniej dotycze cię z blizka,
Jest — że sam Wulpisk ma być gońcem, który
Wiezie ów edykt.

Olympiusz.

On?

Asper.

Jakiej natury
Inne rozkazy mieć może tajemnie,
Przyszłość okaże. Lecz nie czas daremnie
Łudzić się; chwila jest nagłą i groźną.
Drżałem, ażebym nie przybył za późno.
Sam stryj twój, co mię o wszystkiem ostrzegał,
Z trwogą o pośpiech w tym razie nalegał.
Przez wpływ i jego wspomożenie szczere,
W Ostyi lekką nająłem galerę,
I ledwo wczoraj, przy Libijskim brzegu,
Sokoło-skrzydła spoczęła po biegu,
Gdy już na krańcach horyzontu fali
Wprawni majtkowie masztów dostrzegali
Nawy rządowej, co w ślad za mną niosła,
Twojego wroga, a Cezarów posła.

Olympiusz.

Co! tak już rychło?

Asper.

Tak, Olympiuszu!
Radź się Fortuny twojej geniuszu,
Bo czas jest drogi. Czy szczęśliwszej pory
Czekając, uledz, wdziać maskę pokory;
Czy — jeśli ufasz Legii i porze,
Grom uprzedź gromem; — lecz w każdym wyborze,
Pomnij — czy wolisz ciszę, czy pioruny?
Jam zawsze twojej towarzysz fortuny.

Olympiusz.

Dzięki ci! — Tak jest, czas drogi, lecz krótki.
Czekajmy — z przyczyn same wyjdą skutki.
Lecz póki jeszcze Rubikon przed nami,
Zgłębmy go myślą, nim się rzucim sami.

(Wchodzi kapłan pogański).

Kapłan.

Arcy-Kapłana cześć i pozdrowienie
Niosę ci, Panie! W dzień wielkiego święta

Tryumfu Romy, już błagalne pienie
Brzmi z głębi świątyń: wieszczba już zaczęta.
I twego tylko przybycia zebrani
W przysionku Feba czekają kapłani,
By stugłów upadł u stopni ołtarzów,
Na cześć Fortuny Romy, i cesarzów.

Olympiusz.

Idźmy!

(Do Aspera).

Dziś święto zdobycia Kartagi.
Sama czcić musi pamięć swej zniewagi.
Bo tem nad światem wynosi się Roma,
Że świat drży przed nią, a siebie się sroma.
Idźmy!

Asper.

I pewno ujrzym przy ofierze
Cudną kapłankę Dyany.

Olympiusz (z zapałem).

Asperze,
Kocham ją! — iskra stała się płomieniem.
Co było żądzą — jest czcią, uwielbieniem.
Ona być musi moją — ale żoną.

Asper.

Prokonsul? Priskus?

Olympiusz.

To postanowiono.
I na twój tylko powrót ze stolicy
Czekając, zamiar trzymam w tajemnicy.
Pójdź!

Asper (odchodząc razem).

Ten cię obrzęd niech natchnie odwagą.
Zwłoką w działaniu upadła Kartago.

(Odchodzą).

SCENA II.

Forum. Po jednej stronie krużganek świątyni Feba, po drugiej w oddaleniu, widać mury cyrku. Przed krużgankiem świątyni, na wzniesieniu, krzesło kurulne; za niem po obu stronach stoją kapłani, na czele ich:

Arcykapłan, Olympiusz i Asper.

Rozpoczyna się uroczystość pogańska; arcykapłan wróży z jelit ptactwa. Olimpiusz słucha jego mowy roztargniony.

Kapłan pierwszy (poglądając z boku).

Patrz, jak się zżyma prokonsul! — ja wierzę,
Że jest, jak mówią, chrześcijanin skryty.

Kapłan drugi.

E! jemu tęskno do ócz Felicyty.
Kazał zamilknąć chórom, bo w nadziei,
Że głos jej rychlej usłyszy z kolei.

Kapłan pierwszy.

I Arcykapłan posłał właśnie do niej,
Gdzie w tajemniczej przybytku ustroni,
Samotna u stóp wieszczego trójnoga,
Czeka natchnienia złotej lutni Boga.

Arcykapłan.

Gdzie jest Felicyta?
Cóż to? ty milczysz? — Skąd to pomieszanie,
Ten strach w twych oczach?—Mów! zwierzchnik cię pyta,
Ojciec cię błaga — mów!

Kapłan trzeci.

Arcykapłanie!
Córki twej niema w przybytku.

Arcykapłan.

Nikczemny!
To być nie może!

Kapłan trzeci.

Tajny wchód podziemny,
Gdzie nikt nie postał prócz Arcykapłana,
Stoi otworem; na ziemi stargany
Wieniec, i biała zasłona Dyany,
I lutnia.

Arcykapłan.

Nie kończ, dość! ona porwana!
Ha! i wiem sprawcę...

(zbliża się szybko do Olympiusza).

Słuchaj, rzymianie!
Słuchaj! wiesz co mam mówić. Gad i żmija,
Gdy je zbyt depcą, ma jad co zabija.
Myśmy zdeptani — lecz krew co w nas płynie,
Wiedz, że dojrzewa ogniem tego słońca,
Które wyradza lwy i skorpiony.
Drżyj! bój się zemsty mojej — i tysiąca...
Oddaj mi dziecię!

Olympiusz.

Starcze, tyś szalony!
Co z twem dziecięciem?

Arcykapłan.

Nie wiesz? o, bezczelny!

Olympiusz.

Co za rozpacz dzika!
Starcze! przez Nieba, mów co się z nią stało?

Arcykapłan.

Ach! i jam nędznik łechtał się tą chwałą,
Że ten, przed którym za lada skinieniem
Afryka drżała, drży przed jej spojrzeniem,
Jej, dziecka mego! — którą tajemnicza
Świętość skromności, niewinność dziewicza,
Strzegły potężniej przed sprośnym zapałem,
Niż strój kapłanki; — ach! ja nie wiedziałem,
Co może rzymian przemoc wyuzdana.

Olympiusz (z gwałtownością).

Cóż się z nią stało? mów!

Arcykapłan.

Ona porwana!
A tyś ją porwał.

Olympiusz.

Ona! Felicyta?
Porwana? starcze!

Arcykapłan.

O! mnie nie omami
Dziw twój udany; — wzrok mój głębiej czyta.
Ledwieś wszedł, zgadłem, że serce z myślami
Walczyło w tobie; gdyś zasiadł na tronie,
Piekło złych uczuć wrzało w twojem łonie.
I niecierpliwość twoja przy ofierze,
I.... (uderzając się w czoło).
Co za straszne światło piorunowe
Błysło w mej myśli! — Nie wierzę, nie wierzę,
Nie! — lecz mów, wyznaj, czy i ona w zmowę
Wchodziła z tobą? Ach! bo i cóż znaczy
Ten strach, to łkanie, ten jej głos rozpaczy,
Gdy u nóg moich padłszy na kolana,
Dłoń załamując, błagała dziś z rana,
Ażeby nie być wspólniczką obrzędu.
Byłaż to bojaźń, czy zgryzota błędu,
Czy chęć wyznania? — lecz wątpić daremno!
Któż mógłby bez niej znać drogę podziemną? —

Olympiusz.

— Klnę ci się, kapłanie!
Na światła Niebios, co nigdy nie gasną,
I wiecznie ciemne Erebu otchłanie,
Że zbrodni, którą gniew mię twój obarcza,
Jam nie jest winien; — i oby potwarcza
Była zarówno myśl, słowa twe o niej! —

Arcykapłan.

Jeśliś szczerze
Rzekł i poprzysiągł słowa twe: — nie wierzę,

I śmiałbym przysiądz na Styx, że nikt inny
Nie postał nigdy w jej myśli niewinnej,
I że jej dusza, jako obraz Nieba,
Gorzała tylko świętem ogniem Feba,
Złączona tylko z ziemskiemi przedmioty,
Miłością córki i żalem sieroty.

Olympiusz.

Wobec więc Feba i czystej Dyany,
Słuchaj mię, ojcze! Kocham Felicytę;
Dziś miał być dla mnie ów dzień pożądany,
W którym ci chciałem odkryć myśli skryte.
Złe wieści z rana, jak groźne wyrocznie,
Wstrząsły mem sercem; to był powód smutku,
Coś widział we mnie; — lecz teraz niezwłocznie
Stały mój zamiar chcę przywieść do skutku.
W tem, coś rzekł, straszna jest jakaś zawiłość.
Śpiesz ją rozjaśnić; bierz w pomoc me straże;
Znajdź ją! a jeśli podziela mą miłość,
Dziś przed Hymena stanę z nią ołtarze.

(Głos trąb za sceną).

Ha! cóż to znaczy?

Głosy za sceną.

Goniec, poseł Romy!

Olympiusz.

O, trzebaż losu, by wróg mego życia
Wybrał tę chwilę swojego przybycia!

(Do Arcykapłana).

Arcykapłanie! musisz zostać z nami.
Poślij kapłanów zwiedzić gmach kryjomy
I święte gaje, i za jej śladami
Iść, gdy się znajdą. Nam przyjąć potrzeba
Gońca Cezarów; niech w obliczu Feba
Sprawia poselstwo: — treść mi jest wiadoma. —
Słów, coś rzekł, przez mię nie dowie się Roma.
Lecz niech na wieki zamilkną w twej duszy,
Bo wiatr tu język, a ziemia ma uszy.

(Olympiusz zasiada na krześle: kilku kapłanów wychodzi z rozkazu Arcykapłana).

SCENA III.

Ciż i Wulpiskus

Wulpiskus.

Olympiusza Priska, Prokonsula
Libii i Afryki, memi usty
Pozdrawia Senat i oba Augusty!

Olympiusz (powstając).

Cześć im obudwom! Łaska ich utula
Żal w sercu mojem, którym zgon Sewera
Przejął świat cały.

Wulpiskus.

Rozkaz mój zawiera
Inną też, dla mnie smutniejszą powinność.
Lecz biada temu, ktoby w państwach Romy,
Na szali uczuć swych ważyć śmiał czynność,
Którą mu zleci świata Bóg widomy.

(zwracając się do kapłanów).

Wobec więc was, kapłani, i zebranych
Obywateli rzymskich i poddanych,
Olympiuszu! słuchaj, coś obwieści
Edykt Cezarów:

(rozwija zwój pergaminu i czyta)

„Doszły nas wieści,
Że powierzoną ci w Afryce władzę
Niedbałą dzierżysz dłonią, i w Kartadze,
Stolicy twojej, z niewidomych względów,
Dopuszczasz sprośnych bezbożnych obrzędów
Wiary chrześcijan: bluźnierców i wrogów
Nieba i Romy; za co pomsta bogów
Ciężkiemi klęski karze nasze kraje.
Wojny, pożogi, głód, nieurodzaje
Tępią nam ludy tchem zabójczym moru.
Sama natura ze zwykłego toru
Wyszła, i działa wspak ludzkiej potrzebie.
Złowrogie znaki grożą wciąż na niebie,

Jakby na hasło morzu, co swe prądy
Wezbrawszy, wpada na mieszkane lądy
I wstrząsa ziemią, co sama ku niebu
Zionie z wulkanów ogniami Erebu.
Bo wszystkie bóstwa złączyły się wspoły
W zemście na wspólne swe nieprzyjacioły.
I z ich to natchnień, im równy na ziemi,
Co dziś w Olympie ucztuje już z niemi,
Septimus Sewer, grom prawa surowy
Zatlił w swych ręku na przestępców głowy,
By przebłagali bogów, lub zginęli.
Olympiuszu! biadaż ci, jeżeli
Dłoń się twa leni, a myśl się odważa
Przesądzać wyrok bogów i cesarza,
Co jak grom Zeusa, gdy błysł przed oczyma,
Świat go nie zwróci, Olymp nie powstrzyma,
Jeśli się jednak, jako pragniem sami,
Z pozorów winy oczyścisz przed nami,
Tą razą jeszcze raczym ci łaskawie
Dać czas i pole ku dalszej poprawie.
Przytem zwiastujem Afryce i światu,
Że z woli naszej, za zgodą senatu,
Pamięci ojca naszego i Pana,
Boska cześć odtąd ma być oddawana,
A posąg jego w pierwszych bogów rzędzie,
Na równi z Marsem postawiony będzie.
Olympiuszu! wola przeto nasza,
Którą ci Kajus Wulpiskus ogłasza,
Sługa nasz wierny i wielce nam miły,
Jest — by się w mieście Kartadze odbyły
Święte igrzyska, wśród których Sewera
Posąg niech pierwszą Boską cześć odbiera!
Ty sam, kapłani i lud cały społem,
Palcie kadzidła i bijcie mu czołem.
Kto zaś doniesion byłby do urzędu,
Jako uczestnik chrześcijan obrzędu,
Ten, prócz palenia kadzideł, pokłonu,
Winien poprzysiądz u podnóża tronu,
Cześć naszym bogom i nam posłuszeństwo.
Łaska pokornym, śmierć za sprzeciwieństwo!
Ty sądź, jakiego wart kto będzie losu:
Pożarcia zwierząt, miecza albo stosu.“

Lud.

Niech żyją oba Augusty! niech żyje
Geta i Karakalla!

Olympiusz.

Cześć im obu!
Wola ich święta! — Lecz nim z siebie zmyję
Plamę potwarzy: — ku czemu sposobu
I sił mi nie brak: — chcę, byś wprzód, Wulpisku,
Wiedział, co nie wiesz; — że nie dłoń ucisku,
Nie postrach władzy, nie kaźni miecz nagi,
Może w poddaństwie trzymać lud Kartagi.
Znam go i rządzę. — Co do chrześcijany,
Niech mię obwini, kto prawdy świadomy,
W czem kiedy dla nich złamał prawa Romy?
Że łez nie piję, że w krwi się nie pławię,
Toć przecie w żadnem nie kazano prawie,
Ani mieć chciano prokonsula celem,
By sam był sędzią i donosicielem.
A list Trajana zastrzegł najwyraźniej,
By z nich ten tylko ulegać miał kaźni,
Kto wprzód doniesion będzie do urzędu.
Adryan wzbronił karać go bez względu,
Ani inaczej, aż się udowodni,
Że prócz swej wiary, stał się winnym zbrodni.
Antonin Pius i Marek Aureli
Wskazali kary na donosicieli.
A i sam wreszcie ów edykt Sewera,
Źródło mych nagan, i cóż on zawiera?
Oto, by w państwie nikt nadal bez kary
Nie śmiał się imać chrześcijańskiej wiary;
Lecz żadnem słowem ni zwala, ni zmienia
W niczem, poprzednich praw postanowienia.
Miałożby prawa uwłaczać powadze,
Że się niewinny nie karze w Kartadze?
Lub że w niej świadectw fałszywych narzędzia
Znaleźć nie może i nie szuka sędzia? —
Jakież gdzieindziej wydały owoce
Krwawe katusze i srogie przemoce?
Daliż się zachwiać kaźni okrucieństwem
Ci, co ból szczęściem, a śmierć zwą zwycięstwem,

I w koło bratnich rusztowań lub stosu
Zazdroszczą tylko męczenników losu,
Lub biegną sami rozwijać zuchwale
Pozór cnót rzymskich, przeciw rzymskiej chwale?
Lekkiem ważeniem, obojętną wzgardą,
Jam chciał i mniemał zgiąć ich pychę hardą.
Lecz głos cezarów jest mi głosem bogów.
Oszczerca moich czynów i zamiarów,
Świadczyć to musi przed tronem cezarów.

(Do kapłanów i ludu).

Arcykapłanie Feba, i zebrani
Obywatele rzymscy i poddani,
Słuchajcie wszyscy! a słów moich treści
Niech każdy wszystkim w Kartadze obwieści.
Jutro — nim dłonie różannej Aurory
Ogniste wschodu otworzą zapory —
Kapłani, wojsko, lud, z dala i z blizka,
Niech się na święte zgromadzą igrzyska,
Ku czci Augusta Septyma Sewera,
Imperatora, pana bohatera,
Boga! — któremu, gdyby kto zuchwały
Odmówił hołdu ofiary i chwały:
My, przyodziani Romy majestatem,
Choćby był naszym ojcem, synem, bratem,
Na śmierć naszemi skazujem go usty...
Tak każe senat i oba Augusty!...

(do Wulpiska z ironią).

Ty będziesz z nami: — wybór mąk rodzaju,
Tobie zostawim, wielkomyślny Kaju!

(Olympiusz i Wulpiskus odchodzą).

Lud.

Niech żyje Priskus! na śmierć chrześcijanie!
Na stos! na pastwę lwom!

SCENA IV.

Arcykapłan i kapłani, wysłani przezeń na początku poprzedzającej sceny wchodzą.

Kapłan pierwszy.

Arcykapłanie!
Zbiegliśmy wszystkie ścieżki i zakręty
Świętego gaju, lecz nigdzie nietknięty
Śladem stóp ludzkich kwiat i piasek świeży.
Ale nam jeden z spotkanych pasterzy,
Co pasą trzody pod murami miasta,
Rzekł, że dziś jakaś, znać stara niewiasta,
Krążyła, widział, w pobliżu świątyni.
Wnet potem druga znalazła się przy niej,
Młodsza, jak wnosił z jej ruchów, a wzrostu
Córki twej, panie! Obiedwie po prostu
Odziane w długich płaszczach afrykańskich,
Szły śpieszno w stronę mogił chrześcijańskich,
I owych pieczar, gdzie nocne swe schadzki
I odbywają obrzęd świętokradzki.
Nikt z nas ich śladem iść nie śmiał tą drogą,
Ty wiesz, o, Panie! jak prokonsul srogo,
Na mocy niby praw Marka-Aurela,
Karze, nie winnych, lecz oskarżyciela,
Co z gorliwości o cześć naszych bogów,
Chciałby mu odkryć chrześcijan, ich wrogów.

Arcykapłan.

O! przyszła chwila, że śmierć i męczarnie
I słuszna pomsta ich wszystkich ogarnie!
Jutro, przed całej obliczem Kartagi,
Krwią ich obmyjem krzywdy i zniewagi,
Nasze i bogów naszych, co w swych próżnych
Świątyniach stoją bez ofiar pobożnych,
Odkąd ich gniewu sprawiedliwe gromy
Gasił namiestnik światłowładnej Romy.
Idźcie! i wszystkich, o których poszlaki
Macie, lub wieści, lub choć domysł jaki,
Wywleczcie wszystkich z ich kryjówek ciemnych,

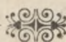
Z grobowych lochów, z ich jaskiń podziemnych.
Choćby najbliższy był własnego serca,
Każdy, jak zbrodzień, jak bogów bluźnierca,
Niech będzie wleczon do stóp ich ołtarzy,
Ofiarne ognie swem ciałem rozżarzy,
A sprośne ślady, któremi je splami,
Niechaj obmywa swej krwi strumieniami.
Bo gdy sąd bogów swój wyrok wyrzeka,
Kapłan ma w sobie zapomnieć człowieka.
Idźcie! ja biorę prokonsula straże. —
Gdzie jest ów pasterz? Wezwać go, niech wskaże
Drogę tych niewiast. — Nie sądzę, nie wróżę,
By była ona; — lecz kto wie, co może
Zemsta bezbożnych: czy chytre układy
Nie chcą ją zwabić w przepaść jakiej zdrady,
Pozorem cnoty lub wielkości w czynie? —
Sam idę zburzyć ich zbrodni jaskinię.
Wy śpieszcie każdy w swą stronę; — a który
Znajdzie ją samą, lub wskaże jej tory,
Niech wie, że ojca ma w arcykapłanie —
Idźcie! a hasło — „Na śmierć, chrześcijanie!“

Kapłani.

Idźmy! a hasło: — „Na śmierć, chrześcijanie!“

(wychodzą).

(D. c. n.)



W szwedzkich szponach.

Opowieść religijna z czasów oblężenia klasztoru Jasnogórskiego przez Szwedów.

ROZDZIAŁ XI.

Na groźny okrzyk imci pana Paska, Zaklika obejrzał się szybko na wszystkie strony, jakby szukając oczyma ratunku, ale ujrzawszy dokoła groźne, jakby z kamienia wykute postacie wojowników, z westchnieniem i zgrzytem zębów wyksztusił:

— Gorzej niż od Szweda, cierpisz od swoich!... Niema już sprawiedliwości na świecie... Ojcu własne dziecko zabierają...

Mówiąc to, znowu ubódł konia ostrogą.

— Na miły Bóg! — krzyknął na to pan Pasek, chwytając za uzdę szarpiącego się konia Zaklikowego — na miły Bóg, powtarzam, z konia, albo kulą w łeb!...

— A cóż to rozbój? — odkrzyknął Zaklika — szlachcic jestem... Jakiem prawem mnie napastujecie?

— Bo widzimy, żeś wilk w baraniej skórze! —

— A wyście anioły! — odparł hardo, ale w tej chwili nagle chwycili go żelaznemi ramiony trzej zbrojni z oddziału imci pana Paska i z konia na ziemię ściągnęli.

Sulima ostrożnie, z ojcowskiem w oczach rozrzewnieniem wyrwał z ramion zbrodniarza pannę Janowicką, ofiarę jego drapieżności.

Gdy uwolnił usta dziewczęcia z okrutnego knebla, który był silnie w nie wtłoczony, usłyszał szept błagalny:

— Przebaczę wam, okrutny człowieku, jeno matki nie zabijaj...



Pielgrzymka warszawska do Rzymu, którą Ojciec Ś-ty Pius X wraz z innemi przyjmował i błogosławił.

Sulima zrzucił z siebie wilczurę, rozesłał ją na ziemi i położywszy na niej nawpół nieprzytomną panienkę, mówił szeptem:

— Niech odpocznie chwilę niebożątko... Skarży się na tego człowieka... Jako Bóg na niebie, nie jest on ojcem tego chudziąteczka...

— I mnie się to widzi! — huczał imci pan Pasek.

— Jak dwie krople wody, takie podobne z moją córeczką — mówił stary Sulima, klęcząc przy omdlałej i zdejmując więzy z jej rąk wątłych, do krwi podrapanych przez głogi leśne i jałowce.

— Niech odpocznie chwilę i przyjdzie do zmysłów, to opowie nam wszystkie niegodziwości tego wielce podejrzanego ptaszka! — mówił pan Pasek, gdy tymczasem zbrojni jego ludzie żelaznemi rękoma trzymali zbrodniarza, przysięgającego po świętokradzku, że jest niewinnym, że Boga wzywa na świadka, jako krzywda mu się dzieje.

— Tegoż to mogłem się spodziewać po was, coście wybawcami moimi być winni?... Puśćcie mnie, aby was Bóg za niewinnie pokrzywdzonego ogniem niebieskim nie pokarał...

— Momencik!... Wstrzymajcie język na momencik!—mówił twardym głosem imci pan Pasek — włos z głowy wam nie spadnie, jeśli to nawpół żywe niebożątko poświadczy, żeście po prawdzie tym, za kogo się podajecie.

— Od niej nic się nie dowiecie, bo jakem rzekł, rozpacz pomieszała jej rozum... Od rzeczy gada moja dziecina, od czasu, kiedy na śmierć straszliwą matki swej patrzyła.

— To się da sprawdzić, czy tak jest, jako mówicie.

— Bogiem się świadczę!... Toż nie poganin, jeno jako i wy chrześcijanin jestem...

Jakkolwiek zbrodzień nadrabiał miną, w duchu drżał na myśl, co się z nim stanie, gdy się ocknie z omdlenia panna Janowicka. Wiedział z przeszłości, że z podobnymi do pana Paska ludźmi żartów niema.

Pod wpływem tych myśli Zaklika kurczył się w rękach trzymających go zbrojnych mężów, na twarzy to bladł, to stawał się jak burak czerwony, a w oczach jak u wilka zapalały mu się i migotały złowrogie ognie.

Nagle ukląkł i zaczął się bić w piersi, drżąc przytem na całem ciele i głośno skarżąc się Bogu na swoje i swego dziecka nieszczęście.

Ten i ów z wojaków, zdjęty litością, zaczął powątpiewać, czy słuszną jest rzeczą, aby go przytrzymywać.

— Niechby jechał w swoją drogę! — myśleli.

Panna Janowicka, jak podcięty kwiat, leżała blada, nieruchoma, a przy niej klęczał stary Sulima i w twardych swych dłoniach trzymał jej chłodne ręce, noszące krwawe ślady od świeżych więzów.

— Nie ojciec to, jak Bóg na niebie! Ojciecby córce takiej kaźni srogiej nie wyrządził—mruczał, wyjmując blaszankę z winem i skrapiając nim skronie dziewczęcia. — Nie wiele brakowało, a byłoby to biedactwo, jako słabe ptaszę w szponach sępa, wyzionęło ducha.

Zaklika tymczasem powziął plan śmiały: postanowił, na nic nie zważając, uciec z rąk trzymających go rycerzy.

— Nieraz już fortelem uratowałem sobie życie — myślał — toć i tym razem nie dam się zjeść w kaszy... Cóż mi po młodej żonce, gdy życie stracę...

Przebiegły stary lis zaczął się więc coraz żarliwiej modlić, udając wielkie rozczulenie, bić w piersi, wreszcie płakać, co zbiło z tropu nawet imci pana Paska.

— Chyba nieszczęśliwy! — pomyślał, muskając czarnego zawiesistego wąsa i z pod oka spoglądając na Zaklikę.

A zbrodzień bił się w piersi coraz silniej, wzywając Boskiej pomocy i zastępów archanielskich.

W tejże chwili w głębi lasu, gdzie ciągnęła się szeroka piaszczysta droga w stronę Olsztyna i Częstochowy, dał się słyszeć z oddali śpiew pobożny.

Nucono starą pieśń adwentową na cześć Matki Boskiej.

Słychać było głosy niewieście i męskie w zgodnym chórze.

W tej też chwili nadjechał z nade drogi straż trzymający jeździec i dał znać, że jakiś wspaniały orszak podróżny zbliża się, mając straż liczną, ze znakami wojewody kaliskiego na proporczykach.

— Grudzińszczyki, stronnicy Szweda! — rzekł niechętnie pan Pasek i szybko zwrócił się w stronę, skąd odgłosy pieśni pobożnej dochodziły.

— To orszak podróżny białogłów leciwych, które w dwóch wielkich kolebkach siedzą — mówił jeździec przybyły z nade drogi — pieśni nucą, dwóch zakonników w białych habitach przy nich widać, przytem dworzan kilkunastu i zbrojna straż na dzielnych koniach.

— Przekonamy się, kto są zacz i dokąd dążą? — rzekł na to pan Pasek.

Mówiąc to, zwrócił konia w stronę nadjeżdżającego orszaku.

W tej chwili Zaklika, który szalony jakiś zamiar powziął w swej głowie, wyciągnął szybko pistolet z za pasa i wypalił do budzącej się z omdlenia panny Janowickiej, ale kula nie w nią trafiła, jeno w klęczącego przy niej Sulimę.

Ten zachwiał się, pochylił i padł twarzą ku ziemi, ranny czy zabity.

Rozległ się drugi strzał, wymierzony w stronę pana Paska, ale chybił celu.

Jak rozjuszony tur, tak rzucił się zbrodzień w bok, z siłą i szybkością piorunującą, wpadł między najgęstsze jałowce i na chwilę w nich zniknął.

Rzucili się za nim rycerze, lecz konno nie podobna go było ścigać.

Kilka strzałów padło w gęstwinę, trzej rycerze zeskoczyli z koni i rzucili się za uciekającym.

— Stójcie! — zawołał gromkim głosem pan Pasek — szalony, kto w tę stronę goni...

A widząc, że rycerze zawahali się, pałając chęcią ujęcia Zakliki, dodał tonem rozkazu:

— Ani kroku dalej!... tam trzęsawiska!... moczary!... Ten człowiek sam się zgubi...

Tak też było.

Zaklika na oślep rzucił się w gęstwinę, lecz ubiegłszy kilkanaście kroków, poczuł, że grzęźnie w opalenisku leśnem. Skręcił w bok, przeskakując z kępki mchu na kępkę, lecz wnet ugrzązł po kolana w bagnie.

— Ratuj mnie, kumie - dyable! — pomyślał zrozpaczony, ziongc przekleństwa.

Wtem rozległ się huk wystrzału, i kula, jak chrabąszcz majowy, furknęła koło ucha grzęznącego coraz głębiej Zakliki.

— Nie strzelać! — rozkazał imci pan Pasek, ujrzawszy, co się dzieje. Ten szaleniec sam się zgubi!... Niechaj go Pan Bóg osądzi!...

Przerażony wystrzałem Zaklika rzucił się z ogromnę furyą w bok, pragnąc dosięgnąć twardego gruntu, lecz trafił na przysypane z wierzchu świeżym sniegiem trzęsawisko, i z wolna zaczął pogrążać się w niem, wydając przeraźliwe krzyki.

Straszliwa śmierć zajrzała mu w oczy, wydał ryk okropny, zamachał rękoma w powietrzu, jak człowiek, który w przepaść leci i pragnie chwycić się czegoś trwałego, aby się ocalić.

— Ratunku! — wyrwało mu się wreszcie z gardzieli, ściśniętej śmiertelną trwogą.

Ale któż mógł mu dać pomoc?... Kto odważyłby się stąpać tam, gdzie pod nogami otwierała swą paszczę błotnista otchłań?...

Tymczasem zanurzał się wciąż coraz to głębiej. Każde poruszenie pogrążało go w głębinę straszliwą. Jak w dzieży nawpół stwardniałego ciasta, tak w nawpół ściętem przez mróz bagnisku, tonął powoli, ale bez ratunku, bez żadnej nadziei ocalenia.

— Już wyżej pasa, już po ramiona sięga mu błoto! — wołał pan Pasek i ze zgrozą odwrócił się.

— Odejdźmy z tego przeklętego miejsca — rzekł — jeszczem też, póki żyję, takiej straszliwej kary Bożej nie widział. Zaprawdę, wielkie ten człowiek musiał popełnić zbrodnie...

W tej chwili za kępą mchu siwego zniknęła głowa Zakliki.

— Zginął na wieki! — rzekł pan Pasek.

— Niechaj mu Bóg będzie miłosierny! — mruknął, żegnając się znakiem krzyża świętego jeden z rycerzy.

I odeszli szybko z tego miejsca, nad którem wykoszlawione konary świerków przewróconych przez burze wyciągały ramiona, jak duchy potępione z otchłani piekielnej.

(D. c. n.)

Stefan Gębarski.





Kompania z parafii Bobrowniki, gub. Piotrkowskiej, u stóp Jasnej-Góry.

Nowiny z Częstochowy.

Prymicye. Na Jasnej-Górze odbyły się prymicye ks. Józefa Orłowskiego, słuchacza akademii rzymsko-katolickiej w Petersburgu, który przeszedł z trzeciego kursu na czwarty ze stopniem kandydata ś-ej teologii „cum eximia laude". Uroczystość ta jest zawsze bardzo wzruszającą, lecz w świątyni Jasnogórskiej odczuwa się podwójnie. Dla prymicyanta jest to też dzień niezmiernie ważny, gdyż w dniu tym rozpoczyna on prawdziwą służbę Bożą, tę służbę, która aby godnie została wypełnioną, wymaga wielkiego poświęcenia, wielkiego zaparcia się samego siebie. Każdy też z uczestników zwilżone ma łzą oko i śle gorące modły do Królowej Niebios, aby ułatwiła drogę życia prymicyanta i obdarzyła go odwagą i siłą ducha na całe życie. Można sobie wyobrazić uczucia wzruszające serca rodziców prymicyanta: Teofila i Franciszki z Mazurowskich Orłowskich z Czyżewa, gub. Łomżyńskiej, gdy ujrzeli syna swego przy ołtarzu Bożym. Dziękowali Pannie Najświętszej, że pozwoliła dożyć im tego wielkiego szczęścia i błagali, aby wzięła pod swoją cudowną Opiekę na dalsze życie. Liczny orszak duchowieństwa asystował przy nabożeństwie: archidyakon ksiądz Michał Ciesielski, dyakon ksiądz Aleksander Wójcik z Wiskitek z archidyecezyi Warszawskiej, subdyakon ks. Włodzimierz Jakowski, magister ś-ej teologii z parafii Ś-go Zygmunta, ceremoniarz alumn seminaryum Saratowskiego Salomon i wielu innych. Po „Veni Creator" ks. prefekt Ciesielski wypowiedział bardzo piękną przemowę do wszystkich zgromadzonych, a po skończonem nabożeństwie zaprosił rodzinę i znajomych prymicyanta do siebie, gdzie niezmiernie gościnnie i prawdziwie po staropolsku podejmował zaproszonych.

Dla dobra ogółu. Dawny to i upowszechniony zwyczaj, iż kompanie, przybywające do Częstochowy, nabywają tu chorągwie, ornaty, feretrony, kielichy i t. p. aparaty kościelne dla przyozdobienia swych świątyń.

Zbyt często jednak przytem dają się słyszeć skargi na niemiłosierny wyzysk ze strony sprzedających, — skargi, których słuszność, niestety, niejednokrotnie mieliśmy sposobność stwierdzić. Co więcej, ma się tu do czynienia z podwójnym wyzyskiem: kupiec bowiem wyzyskuje pracę malarza, rzeźbiarza, pozłotnika, poszukując roboty jak najtańszej, co naturalnie nie wpływa dodatnio na jej dobroć, — wyzyskuje i kupującego, sprzedając mu rzecz nieraz bardzo lichą za grube pieniądze.

Zainteresowanych w tej sprawie można śmiało podzielić na dwa obozy: z jednej strony *wyzyskiwani*, jako to: malarze, zmuszeni zarabiać „od łokcia“, rzeźbiarze, stolarze i inni drobni dostawcy, nadto tysiące i setki tysięcy biednego ludu, rzucającego nieraz ostatnie swe grosze na ofiarę, — z drugiej *wyzyskujący* — bogaci kupcy i składnicy, ciągnący dobre zyski ze swego procederu i usiłujący przeto wszelkimi sposoby utrzymać handel przedmiotami religijnymi wyłącznie w swych ręku.

Aby zapobiedz nadal temu wyzyskowi, postanowiliśmy pośredniczyć w dostarczaniu parafiom wszelkich przedmiotów religijnych. Pośrednictwo to na razie polegać będzie na przyjmowaniu obstalunków, do których wykonania powoływać będziemy tylko zdolnych pracowników, płacąc im za robotę według jej istotnej wartości.

Gdy więc którakolwiek parafia poweźmie zamiar nabycia w Częstochowie jakiegoś przedmiotu dla swego kościoła, niech się zwróci listownie do nas, podając o ile można dokładny i szczegółowy opis żądanego przedmiotu. Adresować prosimy do Administracyi „Dzwonka Częstochowskiego“ w Częstochowie. Po przybyciu na Jasną-Górę, kompania znajdzie u nas ów przedmiot gotowy do odebrania. Zadatku żadnego nie potrzeba. Prosimy tylko o dość wczesne zamówienia.

Zapewniamy, że tym sposobem grosz nie zginie marnie: artyści, drobni dostawcy i rzemieślnicy będą zapłaceni według istotnej wartości ich pracy, pielgrzymi zaś pozyskają możność nabycia przedmiotów prawdziwie pięknych i dobrych *bez porównania taniej*, niż dotychczas.

Mamy nadzieję, że Szanowne Duchowieństwo nie odmówi nam swego poparcia i współdziałania w sprawie, którą podejmujemy tylko *pro publico bono* — dla dobra ogółu.

Kompania z parafii Bobrowniki, gub. Piotrkowskiej. Pod światłem przewodnictwem pasterza swego ks. Rykowskiego, przybyła kompania z parafii Bobrowniki na Jasną-Górę, zwracając uwagę wszystkich wzorowym porządkiem i gorącą pobożnością. Ksiądz proboszcz Rykowski chwalił swych parafian, że pod wielu względami mogą służyć za wzór innym. Daj Boże, aby i na przyszłość tak było!



Kompania z parafii Budziszewice, gub. Piotrkowskiej, u stóp Jasnej-Góry.

Kompania z parafii Budziszewice, gub. Piotrkowskiej. Kompania ta przybyła we wzorowym porządku pod przewodnictwem swego pasterza ks. Pląskowskiego. Miło było patrzeć na wielką pobożność parafian budziszewickich, korzących się u stóp ołtarza z Cudownym Wizerunkiem Bogarodzicy. Oby jak najwięcej podobnych przykładów gorącej wiary i pobożności!

Kompanie z Górnego Śląska. Kompanie te przybyły pod przewodnictwem Jana i Ferdynanda Gruchotów, z Huty Królewskiej we wzorowym porządku, aby u stóp Królowej nieba i ziemi, przed Jej Cudownym Wizerunkiem na Jasnej-Górze, złożyć serca swe, gorącą wiarą ożywione i uprosić sobie łaski i przebaczenie grzechów.

Kompanii z Raszau przewodniczył umiejętnie Franciszek Boryczka.

Kompania z Kurowic, gub. Piotrkowskiej. Kompania ta przybyła pod przewodnictwem swojego ukochanego pasterza ks. Zagrzejewskiego. Patrz illustracyę w czerwcowym tomie str. 103 „Dzwonka Częstochowskiego". Wrażenie, jakie zrobiła swojem cichem, spokojnem, pełnem religijnego nastroju zachowaniem się na miejscu świętem pozostanie na długo miłem wspomnieniem. A najwyższą nagrodą dla pielgrzymów jest zadowolenie własnego ich dusz pasterza, które wyraził do nas, mówiąc o dobrem zachowaniu się, utrzymywaniu porządku i posłuszeństwie swych parafian. Matka Najświętsza będzie błogosławiła swoim owieczkom, iż z taką przykładną czcią zbliżają się do Jej ołtarza.

O F I A R Y:

Na klasztor Jasnogórski.

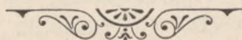
J. Zuchara w Wave Mass.	rb.	1, 90 kop.
J. Tamul w K.	„	— 50 „

Na nowy kościół w Kijowie.

Bezimiennie	rb.	2, 48 kop.

Na kościół w Mochowie, dyecezyi Płockiej.

K. Ł.	rb.	1 — kop.



Nowiny z daleka i z blizka.

Rzym. W dniu 2 ubiegłego miesiąca, w Watykanie obchodzono uroczyście sześćdziesiątą dziewiątą rocznicę urodzin Jego Świętobliwości Papieża Piusa X. Ze wszystkich stron świata nadeszły życzenia lat najdłuższych i rządów pomyślnych na Stolicy Apostolskiej. Pomiędzy innymi nadesłali depesze—cesarze: austryacki, niemiecki oraz król hiszpański.

= Ojciec Ś-ty ogłosił *breve*, dotyczące obsadzenia stolic biskupich w Płocku i Saratowie; na pierwszą powołać raczył ks. Apolinarego Wnukowskiego, na drugą ks. Józefa Kesslera. Ksiądz Apolinary Wnukowski liczy obecnie lat 56, zajmuje stanowisko kanonika kapituły łucko-żytomierskiej. Przed tem sprawował obowiązki: prałata kustosza katedralnego, asesora konsystorza oraz regensa seminaryum w Żytomierzu. Wysoce jest ceniony z powodu licznych swoich zalet, z powodu wielkiej pracowitości; wśród duchowieństwa i dyecezyan łucko-żytomierskich zyskał cześć i uznanie. Biskup nominat tyraspolski, ks. Józef Kessler, prałat i kanonik katedry saratowskiej, asesor konsystorza, wiceregens i profesor seminaryum duchownego w Saratowie, liczy dopiero lat 41, lecz już wybitnemi zdolnościami się zaznaczył. Obszerne życiorysy obydwóch tych dostojników Kościoła, wraz z ich portretami, umieścimy w jednym z przyszłych tomów „Dzwonka Częstochowskiego“.

= Osobne posłuchanie uzyskał u Ojca Ś-go dr. Włodzimierz Kozłowski z Galicyi. Jego Świętobliwość zaszczycił go dłuższą rozmową, nadmienił, iż błogosławi wszystkich Polaków, nie zapomina o nich w swoich modlitwach.

= Przybyła pod wodzą arcybiskupa Sewilli i biskupa Madrytu pielgrzymka hiszpańska złożyła hołd Ojcu Ś-mu.

= Dwustu pięćdziesięciu byłych i obecnych uczni seminaryum rzymskiego, ufundowanego przez Piusa IX, otrzymało posłuchanie u Jego Świętobliwości. Pomiędzy byłymi uczniami znalazło się trzech kardynałów: Svampa, Respighi i della Volpe, oraz 20 biskupów. Imieniem wszystkich przemówił kardynał Svampa, nadmieniając, iż wychowańcy wspomnianego seminaryum odznaczają się szczerem, gorącem, niezłomnem przywiązaniem do Kościoła. Jego Świętobliwość odpowiedział serdecznemi słowy, przyczem wyraził, iż dusza Piusa IX raduje się niewątpliwie, widząc tak pożyteczny, owocny rozwój swego dzieła, nadto imieniem tego Swego imiennika zachęcał obecnych seminarzystów, aby wstępowali w ślady swoich poprzedników.

= Z innych audyencyj papieskich wymienimy:

Udzieloną p. Marucchiemu, uczonemu dyrektorowi muzeum egipskiego w Watykanie i muzeum chrześcijańskiego w Lateranie. P. Marucchi wrócił niedawno z podróży naukowej po Egipcie, zdał przeto Jego Świetobliwości sprawę z tej wycieczki, przyczem nadmienił, iż Kedyw (wicekról) Egiptu, u którego miał posłuchanie, z najżywszem uznaniem o Jego Świętobliwości się wyrażał P. Marucchi przywiózł z wycieczki cenne zabytki starożytne, które będą wystawione na pokaz publiczny w Watykanie.

Udzieloną nowemu przewodniczącemu Towarzystwa, Ś-go Wincentego a Paulo, p. Pawłowi Colon, który przybył z tysiącem przeszło członków tegoż Towarzystwa, bardzo rozpowszechnionego w całym świecie katolickim. Ojciec Ś-ty popierał nader gorliwie rzeczony związek, jeszcze będąc patryarchą weneckim.

Udzieloną pielgrzymce włoskiej, wracającej z Ziemi Świętej, pod wodzą mgra Marganti, biskupa z Bobbio i mgra Radini-Tadeschi, kanonika kapituły Ś-go Piotra.

Udzieloną pielgrzymom z Sycylii, przybyłym w liczbie przeszło tysiąca osób, z kilku biskupami; pielgrzymom holenderskim; wreszcie pielgrzymom z Belgii, którzy złożyli Jego Świętobliwości 120 tysięcy franków, jako dar od pisarzy gazet belgijskich. Pomiędzy pielgrzymami belgijskimi znajdowało się wielu pisarzy, śmiało stojących w obronie wiary świętej. Do tych Papież przemówił oddzielnie, zachęcał ich, aby wytrwali w szlachetnej pracy. Powiedział między innemi:

— Działajcie spólnemi siłami, ramię o ramię, bowiem tym jeno sposobem zwyciężycie. A pamiętajcie o tem, że gdyby przeciwnikom udało się was rozdwoić, zniszczyliby natychmiast wszystek plon waszych

dotychczasowych usiłowań. Jeno zgodnością przekonań i zgodną działalnością zapewnicie wierze skuteczną obronę. Wątpliwości nie ulega, iż każdy z was może rozwijać swoją działalność w kierunku, jaki uzna za stosowny. Ale jak w armii każdy pułk walczy inną bronią, kierując strzały swoje w jedną stronę, — tak i wy, stojąc na różnych posterunkach, dążcie wszyscy do jednego celu: do zwycięstwa wiary Chrystusowej. Walczcie pod jednym sztandarem, pamiętając, że jedność — to siła!

= Czcigodny prezes krakowskiej Akademii umiejętności, znakomity uczony i pisarz polski, Stanisław Tarnowski, opisuje wrażenia, doznane podczas posłuchania u Jego Świętobliwości. Opis ten dajemy w skróceniu:

Przed kilkunastu laty, podczas jednej z pielgrzymek do Leona XIII zdarzyło nam się słyszeć z ust pewnego znakomitego duchownego cudzoziemca, zamieszkałego w Rzymie, te słowa:

— Niech Bóg daje najdłuższe życie temu Papieżowi; ale po jego śmierci, następca będzie musiał zająć się przedewszystkiem wewnętrznemi sprawami Kościoła.

Pius X spełnia te życzenia czy tę przepowiednię. Wszystkie Jego kroki, wszystkie rozpoczęte czynności, każą w Nim widzieć niby biskupa, odbywającego inspekcyę swojej olbrzymiej dyecezyi, przyglądającego się pilnie, co i gdzie mogłoby potrzebować naprostowania lub podparcia. Z tem nabytem wyobrażeniem jechało się do Rzymu. Jak się ono potwierdzi? W czem i jak uzupełni?

Jechało się przedewszystkiem ze szczerego popędu i przekonania, z potrzeby tego, co dawniej nazywano złożeniem obedyencyi nowemu Papieżowi; ale łączyła się z tem i ciekawość — nie czcza i płocha bynajmniej, owszem poważna, z głębszych powodów płynąca — co się tam zastanie? co się tam zmienić mogło? w jakim kierunku i w jakiej mierze?

Przyjezdnego na samym wstępie witało i uderzało jedno: Pius X jest wielkiem zajęciem umysłów, pierwszym przedmiotem wszelkich rozmów i pytań. Rzymianie i cudzoziemcy od Niego zaczynają i na Nim kończą swoje uwagi i spostrzeżenia. Leon XIII zasunął się w cień, słyszy się o nim mało; aż dziwno i aż przykro temu, kto przywykł o nim myśleć i podziwiać go. Ale ta przykrość ustępuje i nagradza się, na widok uszanowania i przywiązania, z jakiem ludzie mówią o Następcy Leona. Wszyscy, nie katolicy tylko, tutejsi czy obcy, ale nawet blizcy rządu, ale nawet wyobrażeniami i uczuciami złączeni z Królestwem Włoskiem, ale wielcy panowie i prości robotnicy.



Kompania z Górnego Śląska, z Huty Bismark, u stóp Jasnej-Góry.

Pius X jest popularny — rzecz dziwna, zauważywszy wyjątkowo trudne stosunki i warunki. Czem On tak ludzi zajął i do Siebie pociągnął?

Przedewszystkiem niewątpliwie Swoją dobrocią, sercem otwartem i łaskawem dla wszystkich. Kiedy Mu przedstawiały się po kolei wszystkie parafie Rzymu, przez długi szereg niedziel, On do każdej miał naukę, kazanie w dziedzińcu Ś-go Damazego. Ludzie bogatsi i oświeceńsi widzieli to ze zdziwieniem, ale z naturalnem uszanowaniem; ale lud rzymski widział to z radością i wdzięcznością i odrazu przylgnął do łaskawego, przystępnego Papieża. Co dziwniejsza, to, że rząd okazuje usposobienie zmienione, lepsze.

Pius X nie odstąpił w niczem od kierunku, wytkniętego przez Piusa IX i Leona XIII, nic nie uznał, na nic nie przystał, nie okazał się skłonnym do żadnych układów. A jednak wszystkie gazety włoskie, rządowe czy nie rządowe, mówią o Nim z uszanowaniem, uprzejmie. Stosunek się nie zmienił; w zasadzie wszystko pozostało, jak było, ale usposobienie jest zmienione, łagodniejsze, nie tak naprężone. Miejscowi i świadomi przypisują to również w znacznej mierze dobroci i przystępności Papieża. Pius X nie zamyka Watykanu przed ludźmi, zajmującymi stanowiska urzędowe: senatorowie, deputowani, damy dworu mają do Niego przystęp, którego im Leon XIII nie dozwalał.

Ale silniejszy może powód tej zmiany tkwi w obecnym stanie Włoch. Ze śmiercią ministra Zanardellego, niema teraz ani jednego masona w rządzie: pozostali ministrowie nie są w najgorszym razie wrogami Kościoła, a niektórzy są katolikami szczerze. To jeden powód.

Drugim jest bardzo znaczny wzrost sił katolickich. Stowarzyszenia katolickie różnego rodzaju, nietyko pobożne i dobroczynne, ale zawodowe, przemysłowe, rzemieślnicze, mnożą się i szerzą w sposób zadziwiający. W jednej prowincyi Bergamo obejmują 36 tysięcy ludzi i — wyborców. Te cyfry imponują rządowi i dają mu do myślenia. Wszystko to wpływa na zachowanie się rządu włoskiego względem Papiestwa, a Papież ułatwia to zachowanie postawą, jaką przybrał, nic nie zmienia, nic nie ustępuje w sprawach zasadniczych, ale nie wysuwa ich naprzód, dla ludzi jest łaskawy. Włosi mówią o Nim z tego powodu, że choć niewątpliwie nie jest rozumniejszy od Leona XIII, to jest od niego praktyczniejszy, a ujęci Jego dobrocią, czują jednak dobrze, że ona nie jest miękkością ani giętkością.

Jakoż pod tą dobrocią widnieje stałość i śmiałość. Mówią, że nikt nie umie lepiej, jak Pius X, odmówić stanowczo, jednem słowem, żądaniom choćby mocarstw i ich posłów, jeżeli te żądania w Jego przekonaniu nie zgadzają się z dobrem Kościoła. W urządzaniu Kościoła, kro-

ki Jego ciche są i spokojne, ale znaczące, doniosłe i nadewszystko praktyczne, prowadzące wprost do celu.

Jakże się postać Piusa X przedstawia? Oto tak:

W białej sutannie, bez żadnego innego stroju, posuwa się krokiem miarowym, nad każdą głową kreśli znak krzyża, a każdy chyli się do pocałowania Jego ręki. Niektórzy mówią, że przypomina Piusa IX. Nam się wydało, że raczej jest niższy od niego, cieńszy, lżejszy i prędszy w ruchach. Nie ma tych wielkich, czarnych oczu, które błyszczały w głowie Piusa IX, ani wydatnego, zgarbionego nosa, jak tamten. Rysy są raczej drobne. Twarz na wiek raczej młoda, wskazywałaby co najwięcej lat sześćdziesiąt, a ma 68. Charakter całej postaci — spokój, pogoda, dobroć. Oczy są pełne wyrazu, patrzą uważnie, głęboko i łaskawie, prawie rzewnie. Myśli się o Leonie XIII, o tem wrażeniu, jakie on wywierał swoją powierzchownością, a które Sienkiewicz tak oddał: „Ciało wydawało się widmem, złudzeniem, a duch rzeczywistością, czemś widomem i dotykalnem.“ Tego wyjątkowego i poetycznego charakteru postać Piusa X nie ma, ale patrząc na Niego tylko kilka minut, cóż dopiero mówiąc z Nim, doznaje się wrażenia odmiennego, ale bynajmniej nie niższego. Wzruszenie udziela się z tych oczu o głębokim wyrazie, z głosu, który drga uczuciem, ze słów spokojnych, a łaskawych i ważnych — i to wzruszenie obejmuje człowieka. Czujesz sią przed duchem od siebie wyższym, mądrym i świętym, a ojcowskim, miłościwym, opatrznym. Artysta mógłby powiedzieć, że Leon był więcej poetyczny, — ale katolik czuje się więcej owładniętym przez Piusa X, niemniej jak przez tamtego.

Tarnowski mówi jeszcze o ogólnem znaczeniu pielgrzymek do Rzymu, a to temi słowy:

Częstsze dziś pielgrzymki mają dobry wpływ i przynoszą pożytek. Ich stosunkowa łatwość, ich powtarzanie, zacieśnia węzły pomiędzy Stolicą Apostolską a wiernymi, stosunek staje się żywszym, pamięć trwalszą, potrzeba ciągłego i żywego stosunku lepiej zrozumianą i lepiej myśli przytomną. W dawniejszych wiekach i jeszcze do połowy XIX stulecia, nieszczęściem było Kościoła u nas, a pośrednio nieszczęściem społeczeństwa i jego spraw świeckich, że byliśmy tak daleko od Rzymu, tak luźnie i miękko z nim złączeni, tak mało jemu znani i nawzajem tak mało o nim wiedzący. Jeżeli od lat jakich trzydziestu jest znaczna i szczęśliwa pod tym względem zmiana; jeżeli uczucie więcej niż dawniej wspiera się i wzmaga przekonaniem; jeżeli wyrabia się znajomość i zrozumienie istoty Kościoła, a ustala się i szerzy świadomość koniecznej z nim łączności: to przyczyniły się do tej zmiany także pielgrzymki, które wiernych z różnych stron sprowadzają do stóp Papieża. Daleki obwód katolickiego koła silniej ciągnie do jego środka, środek



Kompania z Górnego Śląska, z Huty Królewskiej, z parafii Ś-ej Jadwigi, u stóp Jasnej-Góry.

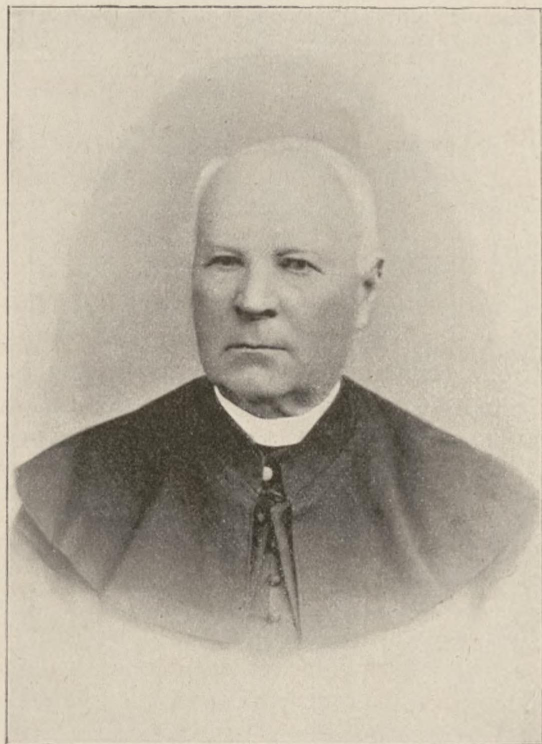
zaś silniej przyciąga do siebie tych, co są na obwodzie, kiedy ich może widzieć na oczy i łatwiej, w większej mierze może im z siebie siły udzielać. Płynie żywszy, pełniejszy prąd uczuć, pragnień, wynurzeń i próśb z obwodu do środka: pamięci, znajomości, wnikania w potrzeby, opieki — ze środka do obwodów. Do środka płyną, skupiają się w nim wierne uczucia, troski, boleści: ze środka się rozchodzą promienie wiary, otuchy, łaski. Jedne i drugie płyną i krzepią się w gorętszej, silniej przejmującej, wzajemnej miłości. Te promienie, które z watykańskiego środka rozchodzą się na cały świat katolicki, rozchodzą się właśnie za pomocą pielgrzymek i pielgrzymów. Każdy z nich przenosi w swojem sercu ślad doznanych wrażeń i uczuć żywiej obudzonych, przechowuje go w sobie, udziela innym dokoła siebie, a przynajmniej udzielać może i powinien.

Złote gody kapłaństwa. Ksiądz Hieronim Romanowicz urodził się w roku 1831 w Janowie Podlaskim. Po skończeniu szkół w Białej-Podlaskiej wstąpił do nowicyatu i seminaryum OO. Dominikanów, przy ulicy Freta, w Warszawie, gdzie też otrzymał święcenie kapłańskie i złożył śluby zakonne. Zdolny i szukający wiedzy, młody kapłan zakonnik w roku 1885 wstępuje do Akademii duchownej w Warszawie, w której rektorem wówczas był ksiądz Bonawentura Budkiewicz. W roku 1859 po świetnem zdaniu egzaminów zyskał tytuł kandydata Świętej Teologii, zaraz też mianowanym został profesorem teologii moralnej seminaryum OO. Dominikanów w Warszawie i obowiązki te spełniał przez lat 9, t. j. do czasu, gdy prawo kasacyi rozproszyło Ojców i seminaryum zakonne. Odtąd zaczyna się jakoby nowy okres w życiu ks. H. Romanowicza, okres prac parafialnych. Opuściwszy mury klasztorne, zajął stanowisko wikaryusza w parafii Lisków pod Kaliszem, gdzie w roku 1870 został sekularyzowanym. Habit więc na sutannę zamienić był zmuszony. Po sześciu latach wikaryatu, mianowany został w roku 1873 proboszczem tejże parafii Lisków, i tam większą część życia swojego wśród ukochanych parafian przepędził. Tam zbudował kościół, plebanię, zabudowania plebanijne i wychował niejedno pokolenie, czynny i wzajemnie kochany, jako dobry pasterz. W roku 1900 przeniesiony został do parafii Wolborz, gdzie złote gody kapłańskiego zawodu świętował.

W krótkim, bo czteroletnim pobycie wśród Wolborzan, ksiądz Jubilat zyskał sobie wielką miłość. Nietylko cała parafia, ale wszyscy, którzy znali ks. Romanowicza pragnęli się przyczynić do uświetnienia jubileuszowej uroczystości i wyrazić swe przywiązanie darami, które złożono: Od parafii ornat czerwony, kosztujący rb. 200 i mszał; od młodzieży alba, komża i stuła czerwona; miasto złożyło wspaniały dywan do wielkiego ołtarza za 100 rb.; w imieniu dzieci trzy dziewczynki w bieli przyniosły

na pięknej paterze bukiet i wianek z mirty. Kahał żydowski z odpowiednią przemową wręczył tort na tacy z inicyałami Szanownego Jubilata, grawirowanemi literami hebrajskiemi i polskiemi.

Na jubileusz przybył Jego Ekscelencya ks. biskup Zdzitowiecki, 50 kapłanów z różnych dyecezyj, wśród których znajdowało się trzech ju-



Ksiądz Hieronim Romanowicz.

bilatów: ksiądz kanonik Rożniewski z Bogdanowa, wyświęcony w roku 1852; ksiądz prałat Orzechowski z Turku, wyświęcony w roku 1855 i ksiądz Ludwik Mierzwiński z Łaznowa, wyświęcony 1855 roku oraz 16 przedstawicieli parafian z Liskowa i Wolborza. Piękna ta i rzewna

uroczystość, mającą cechę święta rodzimego, gdzie obok posiwiałych pracą kapłanów, młodsi się cieszyli. z kapłanami wierni, a wszyscy z Jubilatem na czele, otaczali swego Najdostojniejszego Pasterza.

Chorał. Nowe czasopismo, zacznie wychodzić z dniem 15 lipca r. b., będzie ono poświęcone specyalnie muzyce kościelnej narodowej, tak dawniejszej jak i współczesnej. W miesięczniku tym będą zamieszczane wiadomości pouczające o instrumentach muzycznych, muzyce, śpiewie kościelnym i o wszystkiem, co tylko w zakres muzyki wchodzi. Żywimy nadzieję, iż pismo to wpłynie na podniesienie poziomu naszej muzyki kościelnej, która niestety! u nas jest mocno zaniedbaną. Bardzo chwalebną myśl powziął ks. Julian Paczóski, iż zabrał się do pracy w tym pięknym celu. Szczęść mu, Boże!



112

Książki nadesłane do Redakcyi.

Chwała Panu Bogu, czyli Pieśni Święte, śpiewane w czasie pielgrzymki do Częstochowy.

Ten zbiór pieśni polecamy wszystkim pątnikom, udającym się do miejsca świętego, gdyż zawiera on wiele popularnych pieśni zastosowanych do okoliczności.

Krótka historya Obrazu Matki Boskiej, łaskami słynącej we Wrocieryżu, dekanatu Jędrzejowskiego, dyecezyi Kieleckiej, — napisał ks. Stefan Stuczeń.

Wydawnictwo to zaznajamia czytelnika z dziejami cudownego Obrazu, o którym dużo osób nie wie dotychczas, gdyż nie było jeszcze odpowiedniego opisu; zarazem zawiera modlitwy i nowenny ku czci Niepokalanej Panny Maryi na Jej rok jubileuszowy. Rzecz opracowana źródłowo, umiejętnie, z talentem właściwym autorowi. Cena 20 kop.

Domy udziałowe. Bardzo dobrze autor rozwiązuje palącą kwestyę w naszem społeczeństwie, jaką jest właśnie wygórowana cena komornego. Gdyby ogół nasz, mniej zamożny, przeczytał uważnie książkę p. Chankowskiego, doszedłby do przekonania, iż autor rzucił prawdziwą deskę ocalenia, gdyż kładąc tamę podwyższeniu cen lokalów, zażegnał takowe. Do budowy domu udziałowego sam projektodawca przystępuje. Byłoby bardzo pożądanem, aby znalazł naśladowców.



Kompania z Górnego Śląska z Raszau, u stóp Jasnej-Góry.

Od Redakcyi.

Szanownemu ks. Janickiemu w Przyst. Jakżeż nam miło było wyczytać kilka słów ks. Dobrodzieja tak serdecznie wypowiedzianych... Oby rzeczywiście głos „Dzwonka Częstochowskiego“ rozbudzał serca uśpione!

Szanownemu ks. Księs. w Kal. Ogłoszenie zapisane na 3 razy po rublu za każdy raz. Postaramy się zadosyć uczynić żądaniu.

Szanownemu ks. Urb. w Łęt. gub. Płoc. Bardzo się cieszymy, że „Dzwonek Częstochowski“ zyskał uznanie Szanownego ks. Dobrodzieja. Pracujemy wytrwale i z ufnością w pomoc Bożą i ludzi dobrej woli.

Szanownemu ks. J. Gładysz. Prenumeratę odebraliśmy, za życzenia dziękujemy.

Szanownemu ks. T. Adam, w Didow. gub. Kijow. Pieniądze otrzymaliśmy. Dziękujemy za serdeczne słowa.

Młodemu prenumeratorowi. Przesłane pieniądze otrzymaliśmy. Za życzenia z głębi serca pochodzące ślemy podziękę.

Szanownemu ks. Żelaw. w Igoł. gub Kiel. Prenumeratę otrzymaliśmy. Za przesłane błogosławieństwo jesteśmy bardzo wdzięczni.

Szanownemu ks Kar. w Rumb. Prenumerata opłacona za cały rok 1904.

W-nej Pani Majewskiej w Woł. Rok wydawnictwa liczymy od 1 stycznia. Prenumerata opłacona do 1 lipca r. b.

W-nemu P. J. Zuch. w Wave Mass. Przekaz otrzymaliśmy. Stało się według życzenia Pańskiego.

W-nemu P. J. Lipskiemu w Brooklynie. 6 rb. 30 kop. otrzymaliśmy.

Czcigodnemu ks. kanonikowi Oraczewskiemu w Kiel. Prekaz otrzymaliśmy i dziękujemy. Prenumarata opłacona do 1 lipca 1905 roku.

W-nemu P. Alb. Krause w New. Przekaz na 2 dolary 50 centów otrzymaliśmy. Prenumerata obu egzemplarzy opłacona za cały rok 1904 wraz z przesyłką premiów.

W-nemu P. A. Tur. w Zw. „Dzwonek Częstochowski“ nie był opłacony za cały rok 1903, o czem stosownie do życzenia Sz. Pana zawiadamiamy.

W-nemu P. J. Kawcz. w Milwaukee 3 dolary otrzymaliśmy. Obraz „Widok Jasnej-Góry“ poślemy Panu, jak tylko będzie gotowy, co już wkrótce nastąpi.

Szanownemu ks. St. Czel. w Chic. Obraz p. A. K. posłaliśmy. Rachunek uregulowany. Prenumerata opłacona za cały rok bieżący.

W-nej Pani H. Krak. w B. Przysłanych przez Szanowną Panią pieniędzy wystarczyło na „Dzwonek Częstochowski“ do 1 lipca r. b. Komplety z roku 1902 i 1903, to jest 24 tomy posłaliśmy pod wskazanym adresem zaraz po otrzymaniu zamówienia.

Wszystkich przyjaciół „Dzwonka Częstochowskiego“ upraszamy o rozpowszechnianie tego czci Maryi Królowej Nieba i ziemi poświęconego pisma wśród rodzin chrześcijańskich.

Szanownych Prenumeratorów, zalegających w opłacie prenumeraty, upraszamy o możliwie rychłe jej nadsyłanie.

Upraszamy, ażeby przy odnawianiu prenumeraty lub w razie zmiany adresu, Szanowni Prenumeratorzy raczyli oprócz nowego podawać i stary adres, pod którym dotychczas odbierali „Dzwonek Częstochowski“.

W celu uniknięcia różnych nieporozumień, najlepiej nadsyłać prenumeratę wprost do Redakcyi „Dzwonka Częstochowskiego“, Częstochowa, pod Jasną Górą.

